Numer świąteczny — zawiera 16 stron.

Nr. 296 | Należytość poczt. opłacono gotówką | Lwów, wtorek 25 grudnia 1928 | Rok XI

DZIENNIK LUDOWY

ORGAN POLSKIEJ PARTJI SOCJALISTYCZNEJ

CENA PRENUMERATY:
We Lwowie miesięcznie zł 4·20
z dostawą do domu „ 4·50
na prowincji „ 4·50
za granicą „ 6·50

Cena pojedynczego egzemplarza na całym obszarze Polski

20 groszy

Redakcja i Dyrekcja: Lwów, Sykstuska 21.
Telef. w dzień Nr. 24 — od godz. 10 wieczór drukarnia 496.
Administracja: Lwów, Szajnochy 2 Telefon 19 87

NAKŁ.: LUD. SPÓŁDZIELCZEGO TOW. WYD. — CZEK P. K. O. Nr. 142.176. — REDAKTOR NACZ.: ARTUR HAUSNER

Święta.

Niema człowieka tak ciężko dotkniętego troską życia, niema takiego pesymisty, któregoby atmosfera, nastrój świąteczny, zwłaszcza w okresie świąt Bożego Narodzenia, nie pociągnął, nie uniósł daleko od szarzyzny życia, w krainę lepszą, maszeń, choćby nieziszczalnych.

Nie będziemy się zastanawiać nad potęgą tradycji, której ulegamy wszyscy, nie próbując się nawet przed nią bronić. Ulegamy jej chętnie, uznając nawet w pokorze ducha, że z tym nastrojem nam dobrze. — Istotnie myśl nasza staje się jaśniejszą, sąd wyrozumialszy, sami czujemy się lepsi.

Pozatem święta zamykają pewne okresy czasu i zdarzeń w nich zawartych, ułatwiając nam ogarnięcie ich naszą myślą, ułatwiając ich ocenę.

Do takich zdarzeń o wielkiem znaczeniu należy rocznica dziesięciolecia niepodległości Polski. Pokolenie powojenne, najmłodsze, nigdy nie doceni dostatecznie tego wielkiego i doniosłego historycznego zdarzenia. Z pokolenia starszego zaś, część jego najstarsza, ta, która działała publicznie, którą długi okres czasu dzielił od tej szczęśliwej daty, widziała najwięcej z tych prawie nie do pokonania trudności, ta więc część społeczeństwa najlepiej ocenić może to wielkie zdarzenie, na które beznadziejnie czekało tyle pokoleń polskich. A doniosłości tego faktu nie mogą nam umniejszyć trudności jakieśmy już przebyli, i jakie nas jeszcze czekają. One wszystkie razem są zaledwie drobną niedostrzegalną cząstką tych, które stały na przeszkodzie do osiągnięcia niepodległości.

Daremnie byśmy szukali porównań, celem uwidocznienia tej ogromnej różnicy, jaka zachodzi między życiem narodu podzielonego, poddanego ciemiężeniu trzech sił państw zaborczych, a położeniem w wolnem własnem państwie. Wszystkie porównania zawiodą i będą słabem odbiciem tego, cobyśmy powiedzieć chcieli.

Naród wolny, w własnem państwie ma wszystkie możliwości twórcze przed sobą. Ukryte głęboko w nieprzebranych właściwościach, potencjonalne siły, które nie wyładowane, są bólem bólów — przejawiać się mogą swobodnie, tworząc wielkie wartości wolnego człowieka w wolnem państwie.

Dlatego właśnie w okresie świąt, gdy pogodniej patrzymy na świat, głęboką tę prawdę uprzytomnić sobie trzeba. Pamięć o tem, powinna nas pozbawić pesymizmu, który niestety zalewa coraz szerzej nasze dusze, utrudniając pokonywanie trudności jakie piętrzy przed nami szara codzienność.

Ta filozofja, powinna być przedewszystkiem dewizą szerokich mas ludowych, dewizą pracującego człowieka. Nowoczesne państwo jest przedewszystkiem jego organizacją, jego ostoją. Jeżeli nie zupełnie jest tem dzisiaj, to dążenie do tego celu, jest godnem ofiary i wysiłku. Formalnie, nie stoi temu nic na przeszkodzie, o ile masy ludowe pokonają wewnętrzne swoje trudności, o ile wytworzą organizacje, a przy pomocy ich siły, które pozwolą cel ten osiągnąć.

Socjalizm polski pchnął masy na tę drogę i nic uda się nikomu, z drogi tej je odwieść. Idą one śmiało, rozumiejąc równocześnie znaczenie państwa dla siebie. Nie potrzebujemy przeto bronić naszego stosunku do państwa — przed wojną i w czasie wojny przejawiał się on jaskrawie czerwienią krwi mas, dziś wysiłkiem pracy, na wszystkich polach kulturalnego i materjalnego życia.

Niechże nastrój świąteczny, pogodny i jasny, jak śnieżny krajobraz zimowy, ułatwi zrozumienie tych haseł, które w wielkiej mierze urzeczywistniła w państwie polskiem Polska Partja Socjalistyczna.

A. Hausner

—o—

ARTUR ĆWIKOWSKI

Przychodzisz znowu, cicha Nocy...

Przychodzisz znowu, cicha Nocy...
z tej dalekości szafirowej,
z której spogląda miłość Boża
na utrudzone wieków głowy;

Z hostją opłatka idziesz ku nam,
z szczęściem, które się wiecznie trwoni,
patrząca wzrokiem Chrystusowym
i Chrystusowej pełna woni...

I na to nędzne serce ziemi,
na serce, co ogniami dyszy,
zlewasz strugami gwiazd pełnemi,
błogą wszechłaskę swojej ciszy.

Płyną tęczowe twe anioły,
kolendy — jak baśń — cud wieszczące
i sieją czar mistycznych kwiatów,
zerwanych gdzieś na niebios łące.

O wigilijna, święta Nocy!
wieki stąpają w krwi powodzi,
podając sobie głos rozpaczy:
kiedyż nasz Zbawca się narodzi?

O wigilijna, święta Nocy!
wieki przechodzą, krzycząc: Gorze!
i walą się w tę czeluść, gdzie wre
cierpienia purpurowe morze.

O wigilijna, święta Nocy!
twój czar jak złoty omam mija —
a pozostaje ból, co krwawi
i szał człowieczy, co zabija...

I coraz głębszą pleśnią smutku
obrasta stary pień żywota...
coraz żarliwiej, coraz mocniej
modli się ludzkich dusz tęsknota.

Świegocą w śniegu i zawieji
kolendy twoje z wysokości —
lecz czy przez otchłań dni dzisiejszych
twój Chrystus drogę nam wymości?

Pachną twe jodły. błyszczą świece,
pieściwie dzwonią twoje dzwony —
Ale czy będzie kiedyś, kiedyś
ten świat naprawdę odkupiony?

Przychodzisz znowu, cicha Nocy,
z krainy rajskiej, zaświatowej...
korony marzeń twoje ręce
kładą na nasze smętne głowy...

JAN HANEMAN.

Błogosławieni pokój czyniący...

Ruszymy z posad bryłę świata,
Dziś niczem — jutro wszystkiem my!
(Międzynarodówka).

I.

Nędza, głód, beznadziejne jutro — oto szara rzeczywistość, oto los wydziedziczonych.

W ciemnych, nędznych zakamarkach i wązkich koszarach, w najbiedniejszych dzielnicach i cuchnących przedmieściach wielkich miast zamieszkuje większa część ludności. Klasa, która pracą swych rąk wytwarza wszelkie wartości, bogactwa i jest dźwignią życia gospodarczego — skazana jest na systematyczne zubożenie i nędzę.

Ta straszna, rzucająca się wszystkim w oczy nierówność zrodziła w umysłach światłych ludzi wielkie idee współczucia i sprawiedliwości. Powstały marzenia o lepszym, szczęśliwszym kraju przyszłości, gdzie wszyscy ludzie korzystać będą z równych praw i w którym wszystkim będzie dana możność rozwoju swych zdolności. To było podłożem, było tłem wielkiej utopji Tomasza Morusa. Przejęty obrazem rzeczywistości tego padołu łez i płaczu, krzywdy i wyzysku na świecie, marzył Morus o wyspie szczęścia. Owen, St. Simon, Fourier, Weitling i ci wszyscy utopistyczni orędownicy walki w obronie proletarjatu, zwiastowali światu nowe nauki o równości obowiązków, równości pracy i równości praw do życia.

Ich hasła były ich wiarą, lecz ich idea, ich myśl była marzeniem. Oni poruszyli proletarjat, obudzili nadzieję, dali pociechę, zapał i nową religię tym wszystkim, którzy w chwilach zwątpienia złamani na duchu mieli już ginąć.

Jednakże ci ludzie szlachetni nie mogli wskazać proletarjatowi tej właściwej drogi wyzwolenia, drogi walki o poprawę bytu tych nieliczonych mas i zmianę stosunków gospodarczych i politycznych, albowiem oni byli prorokami-marzycielami.

Tak działo się przez wiekiem i dawniej.

II.

Na horyzoncie życia społecznego w czasie ogromnego rozwoju techniki i rozkwitu przemysłu kapitalistycznego na Zachodzie, ukazał się Karol Marks. On był tym, który skierował te wszystkie błędne płomyki, rozprószone w ideach owych ludzi szlachetnych-utopistów, ognie wzburzonego pragnienia wolności w odpowiednią pochodnię świadomej walki, świadomych dążeń i celów.

On to stworzył system rewolucyjnego socjalizmu, który nie opiera się na pobożnej nadziei i pobożnych życzeniach, lecz na jasnem i wyraźnem sformułowaniu zjawisk socjalnych i przyczyn, które doprowadziły do tych strasznych stosunków wyzysku i gnębienia człowieka przez człowieka.

Karol Marks wskazał proletarjatowi świat takim, jaki on jest w rzeczywistości, on zabił kłamstwo, odsłonił prawdę i wyraźnie wskazał drogę do ciężkiej walki, jako cel rewolucji i konieczności dziejowej socjalizmu. Chaotyczne marzenia utopistów o ziemi objecanej zaczęły oblekać się w realne szaty.

Z zapałem przyjęto naukę Marksa w sferach proletarjatu i inteligencji społecznej. Jak kamień rzucony do jeziora wciąż szerszy wytwarza pierścień falujący, tak zew bojowy Marksa i jego przyjaciół coraz większy budził odzew, a jego teorje i świadoma myśl stała się podstawą działania i przyszłości.

III.

Przed 75 laty garstka inteligencji społecznej z Karolem Marksem stworzyła pierwszą organizację wyzwolenia pracy. Dziś są miljony tych, którym duch Marksa przewodzi. Czy zatem możliwem jest, aby nauka o konieczności dziejowej socjalizmu miały być fałszem lub w lepszym razie tylko utopją? Nie! Socjalizm, opierający się na rozwoju ekonomicznym, na układzie sił społecznych i wynikającej stąd walce klasowej; na materjalistycznem pojmowaniu dziejów — nie jest procesem zależnym od chęci i woli jednostek i dlatego przeżył wszystkich swych renegatów i krytyków burżuazyjnych. Idea socjalizmu jest ideą społeczną, konsekwencją nauki i postępu, jest wytworem nowoczesnej kultury i szerzycielką nowych poglądów i teorji w dziedzinie pracy i ducha.

Ustrój socjalistyczny jako taki, nie może być także owocem jakiejś uchwały parlamentu albo postanowienia rządu robotniczego, jeśli brak jest podłoża psychicznego mas i warunków gospodarczych. Już w łonie społeczeństwa dzisiejszego dojrzewa świadomość nowego życia, krok za krokiem łamie socjalistyczny ruch robotniczy twarde mury kapitalizmu — wielkie wypadki, rewolucje, wojny, przewroty, katastrofy gospodarcze popychają jeno naprzód bieg historji.

Żyjemy w okresie wielkich wydarzeń dziejowych i nam przypada w udziale zaszczyt być budowniczymi nowego ustroju. Kładziemy fundamenty pod gmach mocarstwa realnego, gdzie ludzkość staje się siewcą wolności we wszystkich dziedzinach myśli i życia. Nowy świat ten powstaje z z wysiłku krwi i męki miljonów. Nowe stulecie oznacza koniec walk klasowych i rządów klasowych, koniec pana i niewolnika, ciemnoty i zbrodni, bezwstydu i hańby, okrucieństwa i cierpienia — oznacza narodziny wolności, świat braterstwa, słońca wiecznego świt, poczęcie człowieka społecznego Jutra.

W ustroju socjalistycznym znikną wszelkie przyczyny wywołujące niechęć i wyzysk, zniknie wojna i nędza, ucisk człowieka przez człowieka, klasy przez klasę, narodu przez naród.

Wówczas odmieni się krzywda krwawa,
Gdy równość stworzy nowy ład,
Bez obowiązków — niema prawa,
Dla równych — równy będzie świat!

W. RAORT.

Trzej królowie monarchowie...

Spotkałem ich przed trzema dniami w ciemnej ulicy. Szli, ledwo włócząc nogami ze zmęczenia i klapiąc zębami ze zimna.

— Panowie zapewne na jakąś redutę, lub bal maskowy? — zagadnąłem trzech panów, przebranych w egzotyczne kostjumy wschodnich władców.

— Nie, panie! Jesteśmy autentycznymi królami Wschodu i zdążamy do Betlejem, aby w imię tradycji złożyć myrrhę, złoto i kadzidło u stóp Zbawiciela... Jesteśmy królowie: Kasper, Melchjor i Baltazar...

— Bardzo mi przyjemnie, ale o ile mi wiadomo, to panowie już dawno nie żyjecie i dlatego dziwno mi nieco, że was spotykam o tej porze na ulicy... Bujać, to my, proszę szanownych panów!...

Szczere zdumienie odmalowało się na twarzach władców Wschodu.

— Jakto?... Pan nam nie wierzy, że jesteśmy królami?...

— Mimo najszczerszej chęci, nie mogę! Mistyfikacja leży tu, jak na dłoni... Przedewszystkiem nie należycie panowie do Ligi Narodów, nie partycypujecie w kontach na utrzymanie tejże Ligi, nie jesteście uznani ani de facto, ani de jure, choćby nawet jak król Zogu z Albanji, nie macie akredytowanych posłów na dworach europejskich i nie robicie wrażenia półgłówków. Wynika z tego, że podszywacie się tylko pod miano królów!... A zresztą, mój Boże! Co to jest król? Czy myślicie, że wodogłowcy są teraz w takiem samem poszanowaniu u ludów, jak przed wojną? W Polsce, panowie wogóle nie macie nic do gadania, bo tych kilku naszych wileńskich szmoków monarchistycznych się nie liczy. Nawet w takim Afganistanie, usiłują wdzięczni poddani wypruć kiszki z Amanullaha. Panowie nie zdajecie sobie sprawy z przykrości, na jakie się narażacie, wybierając się do Betlejem przez obce terytorja i kordony graniczne... Gdyby wam nawet wydano w Polsce paszporty ulgowe na podróż za Zbrucz, to panowie, zdaje się, nie wiedzą, że w Palestynie rządzi teraz Wysoki Komisarz angielski, który jest przeciwnikiem wszelkich pielgrzymek pątniczych. Zresztą, nie ludźcie się wy dostaniem paszportu polskiego. W najlepszym razie otrzymacie go przed Wielkanocą, a panom zależy specjalnie na czasie...

— Co tu począć? — spytał bezradnie król Baltazar.

— Najracjonalniej byłoby, gdybyście się panowie przyłączyli do jakiejś misji zagranicznej, która wybiera się w tamte strony.

— Gdzież teraz, przed samą prawie wigiliją, wytrzaśniemy jakąś misję koalicyjną — spytał król Melchjor.

— Nic trudnego! Tyle karawan misyjnych i misyj karawaniarskich włóczy się teraz po Polsce, to i łatwo się dopytać..

Król Kasper rzucił mi się z radości w objęcia.

— Więc radzi pan nam przyłączyć się do jakiejś misji?

— Oczywiście. Radzę panom przenocować, a jutro poczynić odpowiednie kroki w celu wydostania się za Zbrucz. Wiele w tem pomocną może się okazać misja bolszewicka. Na złoto i myrrhę radziłbym uważać, gdyż na złodziejach nam nie zbywa. O kadzidło możecie panowie być spokojni, gdyż w Polsce mamy go dość.

Trzej królowie pożegnali mnie serdecznie i obiecali zastosować się do moich rad.

—————

Przechodząc wczoraj przez plac Solskich, ujrzałem znowu trzech egzotycznych gości. Stali otoczeni rojem krzyczących i gestykulujących ludzi.

— Panie czarny, kiedy pan może dostarczyć wagonu kadzidła?

— Po czemu kilo myrrhy loco?

— Wielkie mecyje to pańskie złoto! Całkiem, jak tombak. Ja mogę dać po złoty dwadzieścia za gram..

— My już widzieli takie magiki, co sprzedawali mosiężne łańcuszki za czyste złoto...

Wmieszałem się w tłum i po chwili stanąłem obok trzech władców Wschodu.

— Ależ, królowie! Nie wstydzicie się frymarczyć darami, które na tak święty cel pójść mają? Gdzież wasza godność i wstyd?...

Trzej królowie byli widocznie zakłopotani i spuścili oczy ku ziemi.

— Pytam was, jak można wogóle coś podobnego robić?...

Król Kasper pierwszy przemówił:

— Za paszporty zagraniczne, wizy, podania i stemple zażądano od nas zawrotnej sumy. Nie byliśmy przygotowani...

— Za wywóz myrrhy musimy zapłacić cło, które przerasta cały nasz majątek ruchomy! — rzekł król Melchjor.

— Za przywóz kadzidła musieliśmy zapłacić grzywnę i wykupić patent przemysłowy II-giej kategorji.

— Jesteśmy zrujnowani! — westchnął król Kasper.

Uciekłem zawstydzony.

—o—

Jak powstało i czem jest Boże Narodzenie.

Najpierwszym i najbardziej rozpowszechnionym kultem na kuli ziemskiej jest kult słońca i bezpośrednio związany z nim kult ognia.

I nie możemy się dziwić, że właśnie słońcu i ogniowi człowiek oddawał cześć po wszę czasy. — Bo słońce jest źródłem wszelkiego życia na ziemi. Dokąd sięga dobroczynny i błogosławiony promień słońca, tam radość i życie; odsunięcie kogoś od oglądania słońca, od prawa chodzenia w jego blaskach jest karą najsroższą, jaką człowiekowi wymierzyć można.

A ogień, czyż dla człowieka pierwotnego nie jest jakoby maleńkiem słońcem, na ziemię ściągniętem. Pomyślmy tylko, czem był człowiek pierwotny, nie posiadający jeszcze ognia? Słabszy w rękach i nogach od zwierząt, nie posiadający ani kłów ani pazurów, musiał człowiek nieustannie przez nie napastowany bronić się i zapewne ulegał w walce. Człowiek, nie posiadający ognia, nie był jeszcze człowiekiem.

Opanowanie ognia, umiejętność obchodzenia się z ogniem była olbrzymią zdobyczą, od której naprawdę dopiero zaczyna się kultura ludzka. Napewno jednak niezmiernie jeszcze dużo czasu upłynęło, zanim człowiek nauczył się nietylko przechowywać ogień, ale i dowolnie wywoływać go.

Przechowywanie, a potem wywoływanie ognia było czynnością świętą. Ognisko domowe przez długie tysiącolecia dziejów ludzkich jest powszechnym przedmiotem czci.

Później, w czasach, kiedy rozwinęły się już skomplikowane społeczeństwa ludzkie, ogień przestał już być bóstwem tak groźnem, ponieważ wszyscy umieli się z nim obchodzić. Wówczas ogień jest już tylko symbolem, znakiem bóstwa najwyższego.

W takiej formie kult ognia przechodzi aż do naszych czasów i trwa niemal we wszystkich religjach. Kult ognia przetrwał także w przesądach najrozmaitszych — np. w ogień nie wolno pluć, chleba suchego nie można wyrzucić, lecz należy go spalić, gromnicę zapala się podczas bicia gromów itd.

Jest jednak jeden szczególny dzień w roku, związany u wszystkich ludów i we wszystkich krajach ze czcią oddawaną słońcu i ogniowi. Dniem tym jest dzień 25 grudnia.

A jest to rzeczywiście dzień jedyny w swoim rodzaju.

Jest to chwila przesilenia się dnia z nocą, od tego dnia słońce, które zdawało się gasnąć i zamierać, wraca do życia, zwycięża ciemności, dnia przybywa, budzi się nadzieja wiosny, odrodzenia, ponownego zwycięstwa słońca, które jakoby się narodziło do nowego życia.

Narodziło się nowe słońce, nowy młody Bóg, który nie pozwoli światu zginąć w ciemnościach i zbawi go, ku nowemu, ku wiośnianemu życiu.

Niemal wszystkie wielkie religje głosiły, że Bóg narodził się 25 grudnia. Dnia tego rodzą się bogowie: Ozyrys, Tammuz, Adonis, Attin Mitra, Agni, Mann, Apollo — wszyscy z dziewicy i wszyscy w grocie lub szopce.

Oczywiście wszystkie te różne imiona egipskich, perskich, hinduskich itd. są w rzeczywistości imionami zawsze tego samego Boga Słońca, który odradza się właśnie 25 grudnia (ściśle mówiąc 21 grudnia, ale to nie zmienia istoty rzeczy).

O dacie narodzin domniemanego założyciela religji chrześcijańskiej, czyli o dacie narodzin Jezusa — nic nie wiemy. W pierwszych wiekach chrześcijanie obchodzili narodziny Pana w czasach różnych — od stycznia do maja. Dopiero w IV w. na propozycję Cyryla, biskupa jerozolimskiego, papież Juljusz I ustalił, że dniem Bożego Narodzenia ma być 25 grudnia. W dniu tym upływa akurat 9 miesięcy od dnia tzw. w chrześcijaństwie Zwiastowania (25 marca) czyli od dnia poczęcia nowego bóstwa.

Zwyczaje i podania chrześcijańskie związane ze świętem „Bożego Narodzenia" bardzo ściśle wiążą się z kultem słońca i ognia.

U arjów hinduskich, od których wiele podań religijnych przeszło do ludów europejskich, wywoływanie ognia związane było z wielu obrzędami. Ogień nazywa się tam Agni — jest to ziemskie wcielenie słońca, Bóg najwyższy, dobroczyńca i zbawiciel ludzkości, Bóg z wyżyn niebiańskich zstępujący ku ludziom.

Wywoływanie Agni, czyli wywoływanie ognia, odbywało się przy pomocy tarcia dwóch kawałków drzewa. Służył do tego specjalny przyrząd, zbudowany o kształcie krzyża. W miejscu przecięcia się ramion tego krzyża wyrobiona była dziura. W tę dziurę kapłan wywoływacz, cieśla, wprowadzał kij i obracał nim póty, aż drzewo zapaliło się. Wówczas wszyscy obecni iskierkę ognia chwytali na siano, które radosnym blaskiem napełniało całą szopę, czy szopkę. Dla podtrzymywania świętego ognia składano mu ofiarę z rzeczy najpożywniejszych np. masła, produktu krowy, która wraz z innem zwierzęciem z osłem była w szopce, aby razem z ludźmi mogły cieszyć się z narodzin Pana.

Ojcem ziemskim i opiekunem świętego Agni był cieśla, w podaniu ewangelicznem występujący pod imieniem Józefa. Matką ziemską niebiańskiego Agni była Marja — tak nazywała się u Hindusów owa piasta (dziura) w pośrodku krzyża. Maja hinduska występuje w podaniu ewangelicznem pod imieniem Marja. Znakiem świętym Agni, czyli znakiem ognia był krzyż z załamanemi końcami jakby z kawałkami dzwon koła na swoich zakończeniach, tworzący t. zw. swastykę. Od hinduskiej swastyki pochodzi późniejszy krzyż chrześcijański, jako znak bóstwa najwyższego.

— — — — — —

Boże Narodzenie jest świętem znacznie starszem aniżeli chrześcijaństwo. Ze świętem tem łączą ludzie nadzieje odrodzenia życia własnego, a wszyscy powinni żyć w zgodzie i miłości.

I zapewne wiele, wiele jeszcze tysiącoleci przeminie, ale dzień 25. grudnia będzie zawsze jedynym dniem w roku, kiedy zgromadziwszy się razem, wespół z dziećmi i najbliższymi, ludzie radość swą z życia i swe nadzieje na przyszłość wyrażać będą.

Dzień Bożego Narodzenia nie jest związany z żadnem określonem wyznaniem, nie jest wyłącznie chrześcijański — to najbardziej ogólno-ludzkie święto na kuli ziemskiej, święto, którem cieszyć się mogą wszyscy, zarówno chrześcijanie jak poganie, zarówno prostaczkowie jak uczeni, zarówno ludzie, jak wszystkie rośliny i zwierzęta — wszystko, co żyje na kuli ziemskiej, bo to święto Słońca, które zrodziło ziemię, które ją ogrzewa i nieustannie utrzymuje przy życiu, otaczając falami swej życiodajnej potęgi.

MARJA HAUSNEROWA.

Maska.

NOWELA.

Ciągnięto za uszy „nastrój" i „zabawę", ale się nie udawało. Nuda gościła przy ich stoliku.

Jakoś nie rozpraszała jej „czarna", ni likiery, ni dźwięki orkiestry.

Jedni przed drugimi kryli uporczywe ziewanie i patrzyli z udanem zajęciem w przestrzeń zapełnionej kawiarni, oczekującej na „program".

Panie: Lula, Maniuta i Mysia wyczerpały prędko ciekawe tematy i — milczały. Panowie: Tonek, Kazik i Gustaw popijali czarną i likiery i wysilali się na ożywienie towarzystwa to sporadycznym żartem, to nowem spostrzeżeniem, które jednak dla nikogo nie było nowem.

Tylko Anita, córka przemysłowca naftowego, siedząca na skraju kozetki, bawiła się. Ona jedna. Rozszerzoną źrenicą patrzyła przed siebie z istotną radością.

Nigdy róże herbaciane, które właśnie złożyła na stoliku, nie były tak rozkoszne, tak mocno-wonne, jak tego wieczoru. Nawet ciasta i pralinki nigdy dotąd nie zdawały się jej tak radośnie słodkie, jak dziś! Orkiestra wpadała jej w ucho tryumfalnym podźwiękiem życia, które dać może — wszystko, obiecuje — wszystko.

Miała ochotę śpiewać, ściskać za ręce obce osoby, śmiać się za siebie i za wszystkich.

Zdawała sobie sprawę, że otoczenie nie powinno dostrzec, iż jest wyprowadzona z mdłej równowagi, której tak chętnie pragnęłaby się pozbyć reszta towarzystwa.

Dziś Gustaw, brat jej kapryśny i uparty, przyobiecał nakoniec, że zapozna ją z „Maską".

„Maska" śpiewać będzie za chwilę.

Śpiewa codziennie w swym obcisłym, czarnym atłasowym kapturze, który tylko oczom, niespokojnym i jakby niezupełnie przytomnym, dozwala wyjrzeć z za czarnej tajemnicy, tulącej nieznanego artystę przed światem tej brzęczącej, dusznej kawiarni. Oczy! Były stanowczo inne, niż Anita kiedykolwiek, u kogokolwiek widziała. Były jakby nieziemsko smutne, oddalone, czy odgrodzone od całego otoczenia swą charakterystyczną mgiełką, melancholji, gdy cała postać śpiewaka wyrażała niecodzienny wdzięk i urok gibkiego ciała męskiego i porywała każdym gestem — jakże wykwintnym i jakże szczerym!

Nikt nie wiedział, kim był, nawet podobno sam właściciel modnej kawiarni, gdzie „Maska" była stałą atrakcją. Ścisłe „incognito" miało być pono jednym z warunków umowy, wiernie dotrzymywanym.

Anita nie wiedziała o nim nic. Ale dwa wieczory, kiedy mężczyzna w czarnej masce dokonał istnego zaczarowania jej myśli i całego jej świata, dały jej poznać, kim jest „maska": jest to ON, ten przeczuwany, pragniony, jedyny, jakiś On, którego imienia znać dziś niema potrzeby, bo ono wypłynie samo na usta w chwili gorącej i pouľnej kiedy chwila taka nadejdzie w swym biegu niepowstrzymanym...

Tak czuła podświadomie Anita, uśmiechając się uprzejmie i chłodno do znajomych... Nudzą ją — męczą — ciężą jej — są banalni, płascy — nieznośni!

A w takt niespokojnych, krótkich rytmów orkiestry równie podświadomie drgała w niej radość samej siebie — swej mocnej życiowej pozycji — poczucie tryumfu swej młodej, szczęsnej piękności, swego uroku dziewczęcia „o twarzyczce Greuza" — a może.. poczucie tryumfu drugiego skarbu — skarbu pieniądza, majątku, który zmieść zdolen wszelaką przeszkodę w jej śnie o znalezieniu na ziemi Erosa i Apollina zarazem, pod czernią atłasowego incognita...

Anita lubiła zawsze bajki, lubiła to wszystko, co jest... niezupełnie jak w życiu, inaczej, bujniej...

Trzeciego wieczoru powzięła decyzję:

— „Gustawie, musisz mię zaznajomić z „Maską"...

— „Z Maską"? Pocóż to? Sam go dobrze nie znam. Raz przelotnie siedzieliśmy razem przy stoliku. Pozatem nic".

— „To wystarczy — wyrzekła jakoś po-

Początki życia duchowego.

Pytanie, skąd bierze początek rozum ludzki, wiąże się ściśle z pytanjem, jakie jest pochodzenie samego człowieka. Otóż co do tej kwestji niema już w nauce wątpliwości, że człowiek jest tylko ogniwem w łańcuchu rozwojowym istot żyjących, które powstały wcześniej od niego. Czy istoty te pokrewne człowiekowi ustrojem i czynnościami ciała mają z nim również coś wspólnego pod względem duchowym?

Zastanawiano się nad tem pytaniem już dość dawno. Był czas, kiedy wszyscy niemal ludzie oświeceni podzielali pogląd wielkiego myśliciela francuskiego wieku XVII, Descartes'a, że rośliny i zwierzęta są poprostu maszynami. Sami jednak uczniowie Descartes'a zaprzeczyli zdaniu swego mistrza. Genjalny filozof Spinoza utrzymywał, że wszystkie istoty są uduchowione, aczkolwiek w rozmaity sposób, zależnie od warunków zewnętrznych. Inny znów, późniejszy uczeń Descartes'a, De la Mettrie na podstawie własnych badań przyrodniczych doszedł do wniosku, że rozwój duchowy istot żyjących zależy od istnienia pewnych potrzeb u tych istot, że im są ruchliwsze fizycznie, tembardziej są rozgarnięte umysłowo, i że nawet rośliny ujawniają ślady życia duchowego, o ile tylko wykonywują pewne ruchy.

Późniejsze badania nad zachowaniem się istot żyjących potwierdziły całkowicie poglądy Spinozy i De la Mettrie'go. Okazało się, że zachowanie się jestestw żyjących, jest zawsze jak gdyby odpowiedzią na pytanie, jakie im zadaje ich otoczenie czyli poprostu świat zewnętrzny. Owe pytania wyrażają się zwykle w postaci pewnych podniet lub bodźców, odpowiedzi zaś widoczne są nazewnątrz jako ruchy. Oto przykład najprostszego pytania i odpowiedzi, inaczej działania i oddziaływania (reakcji). Gdy światło pada na pień rośliny z boku, strona oświetlona kurczy się, a wskutek tego pień zgina się i staje wklęsły od strony światła.

Nikt oczywiście nie przypuści, że roślina chwilę choćby zastanawia się nad tem, jakby najbardziej celowo odpowiedzieć na podnietę świetlną, a jednak roślina nie oddziaływa odrazu na nią, nie jest to więc czynność zupełnie machinalna. Toż nawet, jak utrzymują niektórzy badacze, zwierzęta jednokomórkowe o najprostszej budowie ciała, poddane działaniu jednego bodźca, nie zwracają się natychmiast w jego kierunku, lecz wykonywują cały szereg ruchow w różnorodnych kierunkach i nie wszystkie zachowują się jednakowo; są one zatem czemś innem, niż maszyny. To też w takich czynnościach odruchowych doszukuje się dzisiejsza nauka objawów duchowych czyli t. zw. psychologji, pierwocin działalności woli, zaczątków życia duchowego.

Gdy się dokładnie przyjrzymy tym czynnościom okaże się, że nie są one zgoła tak proste, jak się to napozór wydaje. Cóż n. p. prostszego od skurczu powieki pod wpływem zmiany natężenia światła lub od cofnięcia się palca, który dotknął ostrej szpilki lub rozpalonego pieca. Wprawdzie palec ów sam odskakuje bez udziału naszej wiedzy, wprawdzie wydaje się nam, że nie trwa to ani chwili, a przecież musiał taki „odruch", jak nazywamy podobne objawy, zająć pewien przeciąg czasu, chociażby kilka drobniutkich cząsteczek jednej sekundy. Gdybyśmy chcieli szczegółowo przedstawić, co się w tym krótkim czasie działo w narządach naszego ciała, musielibyśmy zapisać kilka stronic, objaśnimy więc tylko w paru słowach. Odczuło bodziec przedewszystkiem drobniutkie **ciałko czuciowe**, jedno z tych, których setki i tysiące znajdują się w skórze podbrzuszy palcowych, warg i innych wrażliwych miejsc naszego ciała: **włókno nerwowe** (czuciowe) oplątujące to ciałko, przeprowadziło bodziec aż do **rdzenia pacierzowego**, który został tak silnie wstrząśnięty, że udzielił podniety ośrodkom ruchowym, te znów przekazały ją ruchowym włóknom nerwowym, które z kolei wywołały skurcz odpowiednich **mięśni** i usunęły w ten sposób palec od niebezpieczeństwa. Widzimy tedy, jak misterny jest ów mechanizm najprostszej odpowiedzi, najprostszego oddziaływania naszego na bodziec.

Pochodzenie kolend.

Do Polski jasełka i kolendy przeniosły się w wieku XII wraz z zakonem Franciszkanów i szybko rozpowszechniły się. O ile jednak jasełka utrzymane zostały w tej samej formie, w jakiej zostały zapoczątkowane przez św. Franciszka, o tyle kolendy obce, włoskie, francuskie i niemieckie, nie odpowiadały charakterowi ludu polskiego i posłużyły jedynie za wzór, według którego tworzone były następnie polskie kolendy ludowe, których zbiór obejmuje około tysiąca kolend, wśród których są prawdziwe perły poezji ludowej. Kolendy włoskie mają wiele wdzięku i czułości, francuskie mają więcej pretensji literackiej, mniej ludowej, bezpretensjonalnej liryki, niemieckie kolendy są albo moralizujące albo też rubaszne. Kolendy polskie zachowały na sobie piętno ludowych widowisk, niema w niej literatury książkowej, a jest jędrny styl, bogactwo dosadnych zwrotów i głębokie szczere uczucie. Niektóre z najpiękniejszych polskich kolend ludowych, jeśli sądzić można ze stylu i niektórych zwrotów powstały jeszcze w XIV wieku, a bogactwem stylu i uczucia stoją na równi, jeśli nawet w niektórych fragmentach nie przewyższają utworów Kochanowskiego i Reja.

Kolendy układali przeważnie bakałarze szkółek parafjalnych, oraz organiści, a więc ludzie, którzy nie posiadali ani wytwornego stylu ani umiejętności rymotwórczych, ale te braki wyrównywali uczuciem, humorem i ich utwory, przeznaczone do najbliższych jasełek, współzawodniczyły ze sobą i bywały coraz piękniejsze, coraz szerzej się rozchodziły i dawały impuls do tworzenia nowych kolend.

ważnie i stanowczo. — Poznaj mię z nim".

— „Cóż za kaprys"!

— „Może i kaprys, ale zrób to dla mnie"

— „Ah — niecierpliwił się brat — więc zrobię, zrobię. Może dziś, kiedy będę miał sposobność. Czy sądzisz, że to jakiś nadzwyczajny człowiek?"

— „Tak!" — oświadcza krótciutko Anita.

Więc — w czasie przerwy, Gustaw podchodzi ku małej kurtynce czy draperji, za którą zniknęła wśród huku i trzasku „braw" — maska.

Śpiewak był zapewne nieco zmęczony, bo zaraz zajął wolne krzesełko opodal i położył szczupłą, białą rękę na chłodnym marmurze stolika.

— „Wypijemy razem „czarną"? — zagaja Gustaw.

— „Dobrze, owszem, pijmy".

Gustaw znika na chwilę. A kiedy powraca kroczy obok niego Anita blada, z niespokojnem sercem i płonącą wyobraźnią.

Kawiarnia wiruje łopotem wentylatorów, chaosem rozmów, gorączką ścisku i nerwowym szelestem niezliczonych gestów, kroków, wstawań, szukań i powitań.

Usuwają się w cień odrębnej małej salki, wyjątkowo dziś pustej.

Gustaw, spełniwszy życzenie siostry, może już w tej chwili tego żałował. Dziwiło go jej onieśmielenie. — „Zwarjowana dziewczyna" — myślał — co ona widzi w tym spóźnionym czarnym trubadurze?"

Po chwilce przypomniał sobie daną komuś obietnicę i wyszedł ze słowami: „Do widzenia — za kwadransik będę".

Nieznajomy trwał w swej wdzięcznej, choć wyrażającej pewne znużenie, pozie, i nie rozpoczynał rozmowy, ani też swej filiżanki kawy której jakby nie dostrzegał wcale.

Anita miała tysiące słów w głębi piersi, ale nie mogła ich narazie wydobyć.

Ta chwila, której przecież tak czekała, była dziwnie ciężka.

No — kiedy się skończy to niewytłumaczone milczenie?

Anita czeka na słowo Maski. Ale Maska milczy. Postać jego nie wyraża w tej chwili nic, przypomina chyba marjonetkę po skończonych produkcjach, którą ktoś zgrabnie na krześle ułożył. Anita czuje, że dłuższe milczenie jest niemożliwe. Jest głupie, zabijające wszelkie uczucia i nastroje.

Musi to zaklęcie przerwać.

Odzywa się cicho, niby od niechcenia „Skąd pan do nas przyjechał"?

Mężczyzna poruszył się lekko i głowę ku niej zwrócił.

— „Ja? Ja nie jestem obcy"... Nagle pobladł, jakby się schwytał sam na zdradzie, na odkryciu niepotrzebnie czegoś, co powinno być tajemnicą.

„A czemu pan śpiewa zawsze w obcych językach"?

— „Hm... Ludzie lubią rzeczy mało znane, egzotyczne"...

Anita zebrała się na odwagę i wyrzekła prędko:

— „I dla mnie pan przedstawiał się zawsze trochę egzotycznie. Jakby z innego otoczenia, z innego świata..." — urwała nagle, czując, że serce jej bije zbyt szybko i mocno, że głos jej poczyna zdradzać zmieszanie.

Mężczyzna nie patrzył na nią, ale dźwięk tych słów odbił się w nim dziwnie silnym rezonansem. Twarz ożywiła mu się na moment jakiemś swoistem życiem wewnętrznem, a chwyciwszy nerwowo rękę Anity, wyrzekł jakby z bólem:

— „Napewno... nie jestem z tego świata, który pani zna. Tak! Mój świat, to tragedja".

Nie pojmowała jeszcze.

— „Tragedja?"

— „Pani! Panno Anito! Wszak tak brat panią nazywa? Nie wiem, co panią skłania do tej dzisiejszej ze mną rozmowy. Może chęć zabawnych wrażeń, może — nuda, a może owo najcudowniejsze, tajemne natchnienie, które włada często naszymi czynami i każe nam serce otworzyć jak kwiat dojrzały wobec pewnych ludzi, pewnych idei. Powiem pani wszystko."

Tu zawahał się.

Anita snuje gorączkowe przypuszczenia: „Czyżby i on? I on — marzył o tej chwili? Czy widział mię dawniej, zauważył?"...

Kawiarnia drżała w tej chwili melodją dzikich upojeń tańczących Negrów i ło-

NIKODEM KOPILEWICZ.

Prasa burżuazyjna a socjalistyczna.

Prasa pod względem masowego wpływu jest najpotężniejszym czynnikiem współczesności. Jest ona wielką soczewką, skupiającą wszelkie przejawy życia, aparatem filtrującym tysiące zagadnień, zwierciadłem bytu i rozwoju narodów.

Dla ludzi umiejących patrzeć ma ona jednak janusowe oblicze. Z którejkolwiek strony popatrzymy na nią posiada własną fizjognomję. W swem nieprzebranem bogactwie rozmaitości tworzy dwie paradoksalne rzeczywistości, dwie twarze, dwa charaktery. Jest zarazem czynnikiem konstruktywnym i destruktywnym, jest taranem prawdy i orędownikiem kłamstwa, jedną drogą prowadzi na wyżyny, drugą na manowce. W jej rozmaitości twarzowej przejawia się rozmaitość ludzi, rzeczy i zagadnień.

Ale na prasie ciąży brzemię dzisiejszego ustroju. W lwiej części znajduje się ona w rękach kapitalistów jako narzędzie dla ich klasowych celów.

Pod tym względem można ją podzielić na dwie kategorje: na pisma będące źródłem zarobku ich właścicieli oraz na pisma subwencjonowane lub będące w całości na utrzymaniu finansjery.

W pierwszym wypadku jest to zwyczajne przedsiębiorstwo, obliczone na bezpośredni zysk, w drugim chodzi o zysk pośredni drogą tworzenia t. zw. opinji publicznej i sugestji masowej.

W obu więc wypadkach prasa jest skazana na dostosowywanie się do jej właścicieli i ich potrzeb.

W porównaniu z zagranicą, gdzie prasa tworzy drugie państwo w państwie, gdzie potęga jej jest tak wielka, że potrafi obalać rządy, gdzie wnika w każdą komórkę życia — prasa w Polsce jest kopciuszkiem bez większego wpływu i znaczenia. Wytłumaczyć to potrafi prosty fakt: suma nakładu dzienników w Polsce nie dorównuje ani w połowie jednemu wielkiemu dziennikowi zagranicznemu w rodzaju „New York Herald“, czy „Times'owi“.

Wymowa tych dwóch faktów tłumaczy nam chyba wyraźnie różnicę znaczenia prasy zagranicą, a w Polsce.

Prasa polska jest przeważnie przedsiębiorstwem handlowem, źródłem zysków jednostek, gotowych w każdej chwili sprzedać swoje pismo dla interesu wraz z żywym inwentarzem lub każdego dnia zmieniać orjentację w miarę oficjalnego kursu i indywidualnych potrzeb właścicieli. Mało natomiast jest u nas pism reprezentujących wytrwale i niezmiernie jeden i ten sam kierunek ideowy.

Jeśli zastanowimy się nad całokształtem czytelnictwa gazet w Polsce i porównamy je z panującemi kierunkami polityczno-społecznemi, wyznawanemi przez czytelników — zobaczymy jakiś dziwny stosunek, świadczący o tem, że czytelnicy rekrutują się przeważnie z ludzi o ideologji sprzecznej z czytywanem przez nich pismem. I gdyby się tak stało, że pewnego pięknego dnia każdy człowiek zacząłby czytać prasę wyrażającą jego ideologję czy poglądy — bylibyśmy świadkami bardzo ciekawej przemiany w czytelnictwie gazet. Dzienniki o największym dziś nakładzie, nie wyrażające żadnego kierunku ideowego, spadłyby do minimalnej ilości odbiorców, natomiast prasa, głosząca ściśle określony program polityczno społeczny wzrosłaby do olbrzymich rozmiarów.

Zejdźmy na nasze własne podwórko, a przekonamy się o słuszności tego twierdzenia.

PPS uzyskała do Sejmu około półtora miljona głosów, posiadając zaledwie cztery dzienniki o sumarycznym nakładzie znacznie mniejszym od pierwszego lepszego brukowca, nie reprezentującego żadnego kierunku, żadnej myśli.

Ta rozbieżność pomiędzy stanem posiadania głosów przez PPS, a pomiędzy sumą nakładu polskiej prasy socjalistycznej świadczy o tem, że socjaliści i sympatycy socjalizmu czytają w znacznej ilości wbrew swoim przekonaniom prasę niesocjalistyczną, a więc nie doceniają znaczenia prasy socjalistycznej.

Przemawiają tu wprawdzie pewne okoliczności tłumaczące ten stan rzeczy, jak: olbrzymi analfabetyzm mas pracujących, głodowe zarobki, bezrobocie i nędza powszechna, ale nie można niemi jeszcze stanu tego w całej pełni usprawiedliwić.

Niewątpliwie analfabetyzm, wynoszący w Polsce około 50 proc., jest jedną z głównych przyczyn nieodpowiedniej siły polskiej prasy socjalistycznej, niewątpliwie nędza i bezrobocie nie pozwalają masom robotniczym na „luksus“ czytania, ale jest to już niejako stała dekoracja dzisiejszego ustroju, siłą faktu wykluczająca tych ludzi ze zdolności konsumowania słowa drukowanego.

Niepodobna jednak nie zwrócić uwagi na to, że ludzie o poglądach socjalistycznych lub zbliżeni do socjalizmu, czytają prasę niesocjalistyczną. Nie zdają sobie oni sprawy z tego, iż przez czytanie obcej im prasy podtrzymują elementy reakcyjne ze szkodą dla siebie samych, oraz dla całej klasy pracującej.

Tajemnica powodzenia tych pism jest zupełnie prosta: Po całodziennej, żmudnej pracy robotnik czy pracownik umysłowy niema cierpliwości do czytania rzeczy poważniejszych, wymagających pewnego skupienia i uwagi. Chwilę, jaką poświęca czytaniu gazet traktuje jako rozrywkę. Tu rzeczy chociażby najciekawsze tracą dla niego swoje znaczenie. Brukowce prędzej trafią do niego podawaniem różnych dramatów kąpanych w jaknajwiększych kałużach, aniżeli prasa poważna, ideowa, hołdująca określonemu kierunkowi polityczno-społecznemu i kierująca się zasadami moralnemi czy etycznemi. W gazecie czytelnik taki nie lubi zasad, nie znosi roztrząsań, ale lubi dać się porwać bezmyślności, ulega chętnie czadowi, bijącemu z reporterskiego sosu.

Tajemnica więc powodzenia i popularności prasy brukowej tkwi w schlebianiu dla interesu instynktom, tkwiącym w człowieku. A dzieje się to tem łatwiej, że obie strony idą tu po linji najmniejszego oporu.

Z powodu niskiego poziomu czytelnictwa w Polsce tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym — polska prasa socjalistyczna znajduje się w ciężkich warunkach. Musi borykać się z trudnościami utrzymania się przy życiu. Podczas gdy brukowce uzbrojone są w „dostatek“ i sytość, prasa socjalistyczna walczyć musi o codzienny chleb. Zachodzi tu taki sam stosunek, jak w rzeczywistości, jak pomiędzy życiem kapitalisty a robotnika.

Prasa socjalistyczna w Polsce ma przed sobą olbrzymie zadania. Wobec tendencyjnego zniekształcania rzeczywistości przez prasę kapitalistyczną, wobec tysięcy zagadnień w różnych dziedzinach życia, w stosunku do których klasa pracująca musi dzień w dzień zajmować swoje stanowisko — na prasie socjalistycznej ciąży obowiązek odzwierciadlania prawdziwego oblicza rzeczywistości i orjentowania w sytuacji. Musi ona być terenem walki całokształtu spraw proletarjatu, musi być wyrazem jego życia zewnętrznego i wewnętrznego, jego potrzeb i dążeń, musi być czynnikiem reagowania na wszystko, co dzieje się w nim i poza nim.

W celu utrzymania i rozbudowania prasy socjalistycznej wyłania się przed nami obowiązek stworzenia odpowiednich podstaw dla jej istnienia. Na wszystkich, którzy rozumieją konieczność i doniosłość prasy socjalistycznej spada przymus moralny pracy o zapewnienie jej warunków rozwoju. Uda się to zrobić przez pozyskanie czytelników. Musi się stoczyć walkę o wyrwanie robotnikom prasy, z którą nie mają nic wspólnego i nauczyć ich czytania własnego pisma, broniącego codziennie ich praw i interesów. Drogą do tego jest przekonanie ich o znaczeniu i wartości prasy socjalistycznej.

Jeśli chodzi o nasz teren, to trudności istnienia „Dziennika Ludowego“ są niezmiernie wielkie, gdy uwzględni się to, co wyżej powiedziane, oraz specjalne warunki Małopolski wschodniej, połaci kraju, zamieszkanej w lwiej części przez ludność ukraińską.

Musimy wszyscy razem i każdy z osobna wszcząć wielką akcję o pozyskanie czytelników dla jedynego dziennika socjalistycznego na naszym terenie.

Polska klasa pracująca w Małopolsce wschodniej, jak i w całem państwie, musi raz wreszcie zrozumieć, że ze wzrostem socjalizmu, że w wyścigu sił politycznych i znaczenia PPS i klasy pracującej musi iść w parze wzrost siły i znaczenia prasy socjalistycznej.

—o—

---

potała uciechą sztucznie wywołanej wesołości. Jazzband grzmiał tryumfalnie.

— „Powiem pani wszystko — a że to jest smutne, rozpaczliwie smutne — nie moja wina.“

Anita wciąż jeszcze krążyła myślą wokół swej zjawy, która ją w ostatnich dniach opanowała: On — ona — i miłość...

Cicho szepnęła „Dlaczegóż takie smutne?“

A potem wysłuchać musiała słów, padających jej na serce, jak zimny gruby deszcz, który jesienią bije o wiotkie skrzydełka przerażonego motyla.

— „Nie jestem wcale egzotycznem zjawiskiem. Gdybyż pani wiedziała, jak męczy mię ta konieczność, że muszę tu występować... Muszę... Nie mogę przestać, bo inaczej Ewę — moją żonę — (objaśnił szybko) i trzy śliczne główki moich dzieci pochłonie nędza. Byłem w operze tutejszej. Pani mię musi znać... Jestem Janusz... (jeszcze zawahał się nieco) Janusz Rowiłło... Nie wyjechałem wcale do Madrytu, jak kazałem głosić... Zapadłem w otchłań — (głos począł mu się łamać) — otchłań ślepoty. Tak... jestem nędzarzem... nie mogę już grać w operze — nie widzę nic na pięć kroków przedemną. — Tu, na tej miniaturowej scence, gdy wypadnę z poza kotary, nie trzeba mi wzroku — tak, mogę łudzić jeszcze, głosem i postacią. Ale czuję, że ta otchłań pogłębia się. Nie będę mógł wcale śpiewać, kiedy poznam, że wszystko stracone nieodwołalnie... Dziś jeszcze, trochę nadziei tli — lekarz to podtrzymuje, Bóg jeden wie, czy prawda, czy litość przez niego mówi... A śpiewać muszę — by nie zginąć — wraz z nimi.“

Głos jego stawał się coraz cichszy, zdławiony, przez tę straszną moc nieszczęścia, która przy blaskach świetnych żyrandolów i upojnych dźwiękach budziła Anitę głosem rozpaczy Życia, deptanego przez tajemne, ciężkie kroki Cierpienia.

Rowiłło wyglądał jakby śmiertelnie zmęczony.

Serce Anity ściśnięte aż do bólu wybijało nierówny takt trwogi na widok tej otchłani, o której mówił on, Rowiłło, oh, Rowiłło wspaniały, niezrównany... Boże!...“

W oczach wiruje jej kotara, stolik, ciemne tapety i czarny atłas śpiewała. W otchłani tragedji „Jego“ pogrąża się gwałtownie i jej czarowna róża, piastowana w ukryciu na łonie dotąd cicho szczęśliwem. Eros jej, to jeszcze jeden „pajazzo“, który musi śpiewać, musi śmiać się, aby żyć...

Kotara drgnęła. Wszedł Gustaw.

— Anito, tamci odchodzą — proszę cię.

Anita podnosi się wolno. Czuje, że jej zimno i że kawiarnia jest strasznie nudna. Żegnają śpiewaka krótko.

— „No? — uśmiecha się Gustaw — czy rzeczywiście jest taki zajmujący?“

— „Tak... dosyć...“ — mówi Anita, pochylając nisko głowę, by ukryć z trudem dwie wielkie, niedyskretne, palące łzy.

—o—

Choinkowych igieł szmer..

Choinkowych igieł szmer szepce w noc wigilijną jakieś prawdy w ciszy utajone, a żyjące, istotne i nieoparte.

Świecideł gwiazdkowych wątły błysk manifestuje dumnie, że jest radością. Czyjąś radością... Tych najmniejszych, najgłębiej w złudzeniach słodkich pogrążonych oczu i serc.

Światła i chóry świąteczne mówią o tem właśnie prawie, które zbyt często zapoznawane jest, zaprzeczane, lub wcale niektórym nieznane. — O prawie do radości.

Kiedy dziecinne ręce chwytają ze skwapliwym uśmiechem swoje brylantowo-złote choinkowe radości, serca dojrzałe sięgają tęsknotą po swoją jasność, po nastrój święta, po uśmiech nadziei, która nietylko jest „matką nierozumnych", jak sądzi codzienność, ale która istotnie przyszłość podbija...

Radości niezwykłej, odświętnej, odurzającej, pragnie w pewnych chwilach pracujący w codziennym kołowrocie człowiek.

Czuje, że to przecie także jego prawo. Takie samo, jak prawo do ludzkiego życia, skoro żyje i pracuje srogo, nieraz nad miarę, nad moc i wytrzymałość.

W dniach święta budzi się ta tłumiona siła i woła uśmiech, o żwawe serca bicie, choć dziś! w święto, wielkie święto Miłości... o zwolnienie człowieka od obręczy trosk szarych...

Uśmiech nie jest niczyją uprzywilejowaną własnością... Choć najmożniejsi pragną zmonopolizować u siebie wszelkie dobro, piękno i rozkosze — uśmiech, ten dar istotnie boski, zjawia się nieoczekiwanie nieraz i na wargach nędzarzy, jeśli są wielcy pracą, jeśli czują swą moc wewnętrzną... I jeśli wierzą w przyszłość nowego, odrodzonego człowieka.

A świąteczne, skrząco-barwne i dzwonno-dźwięczne akcesorja zdają się mówić o tej bajce najpiękniejszej, do której wzdycha ludzkość: o wszechpokoju, wszechradości.

(m. b.).

Genjusz kobiecy.

(W 30-tą rocznicę odkrycia radu).

Dwukrotna nagroda Nobla i uznanie całego świata stały się udziałem Marji Curie-Skłodowskiej.

„Uważam, że pani Curie-Skłodowska jest nietylko największą z żyjących dziś uczonych kobiet, ale jest największą uczoną, jaką świat kiedykolwiek wydał. Całe jej życie jest jednem pasmem bezwzględnego poświęcenia się na ołtarzu wiedzy" — powiedział wybitny amerykański uczony, dr. Henderson.

Marja Skłodowska urodziła się w Warszawie 7 listopada 1867 roku. W 1891 roku wyjechała dla studjów do Paryża i po czteroletniej wytrwałej pracy kończy z odznaczeniem uniwersytet. W tym czasie poznaje młodego francuskiego uczonego, Piotra Curie, równie jak ona zamiłowanego w nauce i wkrótce zostaje jego żoną, rozpoczynając wspólną pracę badawczą. Rozporządzając skromnemi środkami i posiadając niedostatecznie urządzone laboratorjum, na każdym prawie kroku napotykali na trudności w swej pracy.

W zimnem, niedostatecznie ogrzewanem laboratorjum, pracując po kilkanaście godzin na dobę, nie przerywali doświadczeń. Ale ta wytrwałość sowicie została wynagrodzona

w same święta, 26-go grudnia 1898 r.

dokonywują epokowego odkrycia, wielkiego dobrodziejstwa współczesnej ludzkości — radu.

Nie przeczuwali jeszcze wówczas jak wielkie możliwości dla nauki mieć będzie ich odkrycie.

Wynalazek małżonków Curie dokonywuje wielkiej rewolucji w dziedzinie ówczesnych pojęć naukowych w zakresie fizyki i chemji, kładąc podwaliny nowej teorji transformacji radjoaktywnych. Po drodze wytkniętej przez małżonków Curie kroczyło odtąd coraz więcej uczonych badaczów, osiągając coraz większe zdobycze dla współczesnej nauki.

W roku 1903 małżonkowie Curie łącznie z fizykiem francuskim Henrykiem Becquerel'em otrzymują nagrodę Nobla, najwyższe odznaczenie stawiające uczonego w pierwszym szeregu przewodników ludzkości.

W r. 1906

Piotr Curie ginie tragiczną śmiercią

dostając się pod koła ciężarowego wozu na ulicy Dauphine w Paryżu. Przedwczesna śmierć męża była dla Marji Skłodowskiej ciężkim ciosem. Ale nie wstrzymuje jej to od dalszej pracy.

W r. 1913 otrzymuje powtórnie nagrodę Nobla za samodzielną pracę nad odkrytym przez siebie pierwjastkiem, radem.

Cały świat czci ją jako dobroczyńcę ludzkości. Bo dalsze badania nad właściwościami radu wykazują, że dzięki niemu

staje się możliwą walką ze straszną chorobą ludzkości — rakiem

Powstaje nowa dziedzina wiedzy lekarskiej, radjoterapja, a we wszystkich częściach świata powstają instytuty radowe. Taki właśnie instytut ma również w Polsce powstać, jako hołd dla naszej wielkiej Rodaczki. — Instytut ten winien otrzymać poparcie materjalne całego społeczeństwa.

Co nowego?

Jest wiele głupich sytuacyj, w których się człowiek znaleźć może; do takich należy chwila, gdy musimy się głowić nad kontynuowaniem rozmowy, skoro nas ktoś przy spotkaniu zainterpeluje bezmyślnem pytaniem: „Co nowego?" lub: „Co u pana słychać?"

Zdarza się często, że człowiek, który się do nas z tem pytaniem zwraca, jest nam prawie obcy. Co nowego? Mogę mu powiedzieć na to, ile mam lat, albo ile dzieci. Byłaby to z pewnością nowość dla pytającego. Lecz czyż można tak odpowiedzieć? Wyglądałoby to na impertynencję. Niezainteresowałoby go również, gdybym mu powiedział, że wczoraj ciotka moja wyszła za mąż lub że buty mi przemakają, a nie mam pieniędzy na nowe podeszwy. To ostatnie mógłby uważać za niezręczną przymówkę o pożyczkę. Pytający miał prawdopodobnie na myśli jakieś nowe, dotyczące ogółu wypadki. Lecz przecież nie będę mu opowiadał o wczorajszym mordzie rabunkowym, bo o tem musiał już czytać w dziennikach. Podczas gdy rozpaczliwie zastanawiam się nad odpowiedzią, trwa pauza, kłopotliwa dla obu stron.

Nie wiedząc, jak wybrnąć, odpowiada się nieraz poprostu: „Nic". Ale to pogarsza jeszcze sytuację. Rozmowa jest urwana, trzeba znowu męczyć się nad jej nawiązaniem.

Raz w oczekiwaniu podobnego pytania, przygotowałem się na odpowiedź. „Co nowego?" — „Byłem wczoraj na wspaniałym filmie z Chaplinem"... i t. d. Na temat Chaplina można długo gadać. Ale co się stało? Złośliwy człowiek nie zapytał mnie: „Co nowego?" — ale: „Jak się pan ma?"

Są ludzie, którzy na to pytanie mają dużo do powiedzenia. Są to ci, którzy w życiu do czegoś doszli. Ale dla olbrzymiej większości ludzi pytanie to jest także pułapką. Nasuwają się im dwie możliwości: „Dziękuję, dobrze", albo: „Dziękuję, źle". Jest jeszcze trzecia możliwość, przed którą ostrzegam, albowiem jest najbeznadziejniejsza. — Człowiek, zaskoczony tem pytaniem, odpowiada bez zastanowienia: „Dziękuję". I co dalej? Rozmowa ucięta.

Stosunkowo najkorzystniej jest odpowiedzieć: „Dziękuję, źle". Na to tamten przynajmniej zapyta: „Jakto?" albo: „Dlaczego?" Ale na tem koniec. Nastaje milczenie, podczas którego szuka się tematu do rozmowy. Nie odpowiesz mu przecie szczerze: „Bo nie mam pieniędzy", albo: „Bo się przeziębiłem" — gdyż to nie ratuje sytuacji. — W błyskawicznem tempie przebiega się myślą wszystkie możliwe powody. Na Boga, dlaczego człowiekowi może być źle? Z powodu nieszczęśliwej miłości. Ale mówić o tem — to narazić się na śmieszność. Więc dlaczego? Mógł nam ktoś bliski umrzeć. Przyznam się, że raz doprowadzony do rozpaczy powyższem pytaniem, popełniłem akt barbarzyński: powiedziałem, że umarła ma siostra, to dobre, sympatyczne dziewczę, które nigdy się nie urodziło. I cóż się stało? Pytający pogrążył się w milczeniu, majacem wyrażać współczucie, uścisnął mi serdecznie rękę i odszedł.

Dlatego, miejcie się na baczności przed tymi, którzy lubią zaczynać rozmowę pytaniami: Co słychać? Co nowego? Jak się pan ma? I sami nie próbujcie nigdy nawiązywać od tych pytań rozmowę. Lepiej już zacząć... od pogody...

M. C.

—o—

Błogosławieństwo Pracy.

Tym co zginęli na posterunku...

W huku maszyn lub w czarnych podziemiach,
Snujesz życia nowego nam przędzę.
Za pot krwawy — kawałek masz chleba,
Za szmat życia — łzy tylko i nędzę.

W huku maszyn, gdy koła się toczą,
I ząb trybu o zęby zahacza,
Ty z ledwością tam bunt swój hamujesz,
Że pracujesz na wybryk bogacza.

Djamenty ty kopiesz wśród nocy,
W mrokach tylko grzmi huk twego młota
Życiem swoim ty pracę przypłacasz,
Bo na górze pan chce więcej złota.

Skoro świt — głos syreny cię budzi,
Tak w podwoje swe wzywa cię praca,
Codzień idziesz tam z iskrą nadziei,
Chociaż stamtąd się czasem nie wraca...

Lecz cóż robić? — czyż z głodu masz zdychać,
Lub twe dziecko umierać ma w nędzy,
Idź i kuj w poniżeniu biedaku,
Bo pan burżuj chce więcej pieniędzy.

Zginiesz marnie przy pracy nędzarzu,
Jęki twoje huk maszyn zagłuszy.
Nikt nie będzie zadarmo się modlił
Ani śpiewał — za spokój twej duszy.

ALINA LEONTJEW.

Towarzysz.

Socjalista — to człowiek, który uporządkował siebie samego, zszedł w głąb swojej własnej duszy i wymiótł z niej wszystkie zbyteczne bezwartościowe naleciałości, jakie mu były zawadą w poznawaniu Prawdy, wprowadzając na ich miejsce nowe wartości duchowe, by mu przyświecały w dalszej drodze do ostatecznego celu: zdobycia jaknajwiększej sumy szczęścia dla jaknajwiększej liczby ludzi.

Socjalista musi wprowadzać w czyn swoją wiarę społeczną, mając ciągle na względzie przedewszystkiem dobro ogólne, a potem dopiero swoje własne; musi się wyzbyć obłudy i pyszałkowatości, bo największem przykazaniem Socjalizmu jest właśnie to klepane codziennie bezmyślnie przez miljony ludzi religijnych, lecz nie wykonywane przez nikogo wielkie przykazanie: „Miłuj bliźniego twego".

Podstawą ruchu socjalistycznego, głównym kanonem socjalistycznej ewangelji jest właśnie miłość Człowieka. Miłość, która w każdym człowieku widzi brata i pragnie dla niego jednakowego prawa do szczęścia, do zadowolenia i radości życia.

Socjalista ma odwagę śmiałego wypowiadania swoich przekonań i walki o nie, gdy zajdzie potrzeba. Dokonywa często sam z sobą skrupulatnego „rachunku sumienia", a skoro się przekona, że był w błędzie — nie waha się do tego przyznać otwarcie i szczerze, bo tylko głupi zarozumialec trzyma się uparcie swojego zdania, choć w głębi duszy jest przekonany, że nie ma racji.

Socjalista musi być zawsze w zgodzie z samym sobą i być dla siebie najsurowszym sędzią, a gdy mu sumienie nie czyni żadnych wyrzutów — nie zważa na tych, którzy przez swoją głupotę, zawiść lub podłość, starają się kąsać go po łydkach.

Szanując godność ludzką musi socjalista szanować i swoją własną, więc nie pozwoli poniewierać bezkarnie ani swoją własną ani cudzą godnością. Jako budowniczy nowego porządku społecznego, opartego na sprawiedliwości — musi walczyć z wszelką krzywdą, więc jej sam nikomu wyrządzać nie będzie, występując śmiało przeciw krzywdzicielom. Jako żołnierz Armji Robotniczej — cenić musi wysoko karność organizacyjną, pielęgnując w sobie stale żelazne poczucie obowiązku, od którego się uchyli tylko wtedy, gdy mu się własne sumienie uchylić pozwoli.

Socjalista — słowem — musi stale dążyć do doskonalenia samego siebie i swojego najbliższego otoczenia, rozpoczynając każdą reformę przedewszystkiem od siebie samego, stawiając największe wymagania przedewszystkiem sobie, a potem dopiero innym; dawać musi z siebie samego przykład punktualności, gotowości do ofiar, poczucia obowiązku i ochotnej pracy dla Idei, którą ukochał i której służy.

Wtedy tylko socjalista zasługuje na szczytne miano „Towarzysza", jakie wielu z nas wymawia ustami, lecz nie — sercem, bo się nie zagłębiamy w jego przebogatą treść...

—o—

Gigantyczne postępy wiedzy zabiją przyszłe wojny?

Na posiedzeniu chemików i fizyków połączonych uniwersytetów amerykańskich, znany z wielu dotychczasowych wynalazków w dziedzinie chemji, dr. Hilton Jones, oznajmił o dokonaniu przez niego dwóch odkryć... które uniemożliwią przyszłe wojny. — Hilton Jones wynalazł nowy metal, dwa razy mocniejszy od stali i.... o połowę lżejszy od aluminjum i nowy gaz trujący, którego działanie niszczycielskie przewyższa wszystko co dotychczas istniało w tej „najnowocześniejszej" dziedzinie wzajemnego zabijania się.

Zniszczenie, jakie może spowodować użycie jednego bodaj aparatu z gazem „X" jest tak straszliwe, że żadna z stron wojujących nie odważy się zdaniem wynalazcy — narazić ludzkości na tak przerażające skutki.

Gaz zabija w ciągu kilku sekund życie organiczne na przestrzeni setek kilometrów. Żadna maska ochronna nie jest w stanie obronić przed nim, a strumienie gazu, który jest przytem niewidzialny przenikają przez najgrubsze mury.

Drugi, może niewinniejszy pozornie, wynalazek Hiltona Jonesa stanowi ów metal niezwykły, trwalszy od stali, lżejszy od aluminjum.

Zastosowanie tego metalu, który nazwał wynalazca „beryllium" sprowadzi istną rewolucję w całej ballistyce. Zmienić muszą ulec wszystkie pociski, cała broń palna i... lotnictwo wojenne.

„Aeroplan, zbudowany z metalu beryllium, wraz z silnikiem o 100 HP, będzie ważył tyle, że... jeden człowiek będzie mógł go bez trudu podnieść w górę..."

A więc, rzucane z takiego aeroplanu bomby z gazem „X", oto co zabije wojnę w przyszłości! Oby!

—o—

Straszna katastrofa pod Nowym Sączem.

Zderzenie się pociągu z samochodem.

KRAKOW, 23. 21. (PAT.). Z Nowego Sącza donoszą, że w miejscowości Chełmiec pod Nowym Sączem wydarzyła się katastrofa spowodowana zderzeniem się pociągu osobowego z samochodem. Samochód marki „Tatra", prowadzony przez szofera Władysława Ławnicę, wiozący właściciela samochodu Tadeusza Marcinkiewicza, inżyniera rafinerji nafty „Limanowa", zderzył się z pociągiem, który zdążał z Limanowy do Nowego Sącza w chwili, gdy przejeżdżał przez tor kolejowy. Skutki zderzenia były straszne. Samochód zrzucony został z toru. Szofer został zabity na miejscu, inż. Marcinkiewicz zaś odniósł głębokie rany na głowie i doznał złamania nogi oraz ogólnych obrażeń. Śledztwo ustaliło, że winę katastrofy ponosi dróżnik Antoni Pawiak, który mimo sygnału o zbliżającym się pociągu, nie zamknął zapory.

Miłujcie swe dzieci.

Łamy pism codziennych przepełnione są wiadomościami o samobójstwach młodzieży, o morderstwach i samobójstwach z miłości „za obopólną wolą" młodych latorośli, po prostu dzieci.

Co za chorobliwy objaw!

Dzieci, które jeszcze właściwie żyć nie zaczęły, już nie chcą żyć. Brak odwagi, brak woli do życia, zwłaszcza wtedy, kiedy przed temi dziećmi zaczynają się piętrzyć przeszkody. Złe świadectwo, ujemny wynik egzaminu — kula w łeb. Nieodwzajemniona miłość — także kula, ale najpierw w stronę „niewiernej" czy „niewiernemu", a potem sobie.

Za częsty to objaw, aby się nad nim nie zastanowić. Dlaczego tak się dzieje? Czyja w tem wina?

Dopiero onegdaj była przed sądem apelacyjnym rozprawa, przeciw 17- letniemu chłopcu, który najpierw zamordował swą ukochaną, również 17-letnią, za jej zgodą, a potem usiłował popełnić samobójstwo, ale źle trafił, wyleczył się i został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej.

Czy w tym wypadku, jak w wielu innych podobnych nie ma przypadkiem winy, a przynajmniej współwiny rodziców? Rodzice rzadko są przyjaciółmi swych dzieci, dzieci zbyt rzadko mogą się „poufalać" z rodzicami.

Czy matki zastanawiają się nad życiem wewnętrznem swych córek i synów? Jakże często zamykają oczy na widok cierpień tych młodych, drwiąc sobie z ich „dziecinnych wybryków", których końcem tragicznym bywa śmierć przedwczesna i dobrowolna.

Rodzice nie znają swych dzieci. To jest smutna prawda, której można się wstydzić, której zaprzeczyć nie można. Czasem, jak np. w Wieczór Wigilijny otwierają się serca, w domu zapanowuje atmosfera radości, swobody, wzajemnego zaufania. Dlaczego nie jest tak zawsze?

W ilu to wypadkach młodzież ulegając złym wpływom idzie na złą drogę! Całe życie spaczone dlatego przedewszystkiem, że ten chłopiec czy dziewczyna w wieku lat piętnastu, szesnastu nie ma w swej matce, ani ojcu powiernika, przed którymi odsłanialiby swe dziecięce tajemnice, którymby mogli powierzać swe bóle, smutki, zmartwienia i radości. Dlatego na życie młodej latorośli ma często wybitny, decydujący wpływ nie matka nie ojciec, lecz kolega lub koleżanka, nierzadko o zbrodniczych instynktach.

Nie można wychowywać młodzieży przy pomocy bata lub innych kar, bo wtedy przepaść między matką a dzieckiem jeszcze bardziej się pogłębia. Ale trzeba stworzyć atmosferę dobra, ciepła i serdeczności taką jak w Wieczór wigilijny, aby dziecko samo szukało pomocy, opieki, rady u swych rodziców. Wtedy mniej będzie złych doradców, mniej wykolejeń, zbrodni i mniej samobójstw.

Miłość rodzicielska wiele może zdziałać, więcej niż wpływ szkoły, niż wszystkie inne wpływy. *A. R.*

Jak się kapitał wzbogaca?

W ogłoszonem sprawozdaniu za III kwartał br. Utah Copper Co — największego producenta miedzi w Ameryce — uwydatniają się olbrzymie zyski trustów miedzi. Utah Copper Co osiągnęła już w pierwszym półroczu br. wzrost zysku o 30 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym, w III zaś kwartale br. zysk w sumie 7.25 milj. dol. wyniósł o 100 proc. więcej, niż w tym samym okresie r. 1927. Zyski należy przypisać w głównym stopniu ogromnej zwyżce cen na rynkach światowych.

Dywidenda Standard Oil Co za rok 1928 oceniana jest na 221 miljonów dolarów. W roku ubiegłym wyniosła 213 miljonów dolarów. Jest to najwyższa dywidenda od r. 1911.

—o—

Gwiazda Betlejemska.

Uczeni zastanawiali się od dawna nad tajemnicą Gwiazdy Betlejemskiej, o której pojawieniu się na niebie mówi Ewangelja św. Mateusza. Astronom berliński dr. Werne twierdzi na podstawie badań, że Gwiazda, która zajaśniała nad Betlejem, nie jest niczem innem, tylko Kometą Halley'a.

Błędna ta gwiazda ukazała się ostatni raz na firmamencie niebieskim w r. 1910, wywołując trwogę wśród ciemnych mas, które lękały się, że wraz z jej pojawieniem się przyjdzie koniec świata.

Obawiano się mianowicie, że ogon Komety Halley'a zatruje poprostu atmosferę ziemską i wskutek tego nastąpi zagłada wszelkiego stworzenia na ziemi.

Charakterystycznem jest, że pogląd ten podzielało wielu uczonych, a wśród nich kilku fachowców. — Istotnie, ziemia przeszła wtedy przez ogon planety, wynoszący wiele kilometrów długości, tylko o tem nie wiedział nikt, procz astronomów, którzy fakt ten stwierdzili na podstawie dokładnych obliczeń. Badacze, którzy byli zdania, że ogon komety będzie się składał z lekkich, nieszkodliwych gazów, mieli rację.

Dr. Werner wyraża przekonanie, że kometa Halley'a jest ową tajemniczą Gwiazdą Betlejemską. Błędna tę gwiazdę zauważył astronom Halley po raz pierwszy w r. 1682. Stwierdził on, że gwiazda ta jest tą samą, która się pojawiła w r. 1607. W dalszych swych obliczeniach doszedł do wniosku, że kometa ta okrągło co 75 lat opisuje drogę elipsową dokoła słońca i zapowiedział równocześnie, że za 75 lat wypłynie ona znowu w pobliżu ziemi. Istotnie, błędna gwiazda pojawiła się dokładnie w tym czasie, który zapowiedział Halley. Badacz pomylił się tylko o kilka tygodni.

W późniejszym czasie sławni astronomowie angielscy Crommelin i Cowell dowiedli na podstawie zapisków z średniowiecza, rzymskich, greckich i chińskich aż po r. 187 przed Chrystusem, że gwiazda ta pojawiała się regularnie w tych okresach jakie ustalił Halley. Szczególne znaczenie dla tej kwestji ma kronika Chińczyka Ma Tuan Lin, która zawiera zapiski o tej gwieździe w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Z tych astronomicznych pamiętników wynika, że gwiazda ta pojawiła się na firmamencie w miesiącu wrześniu roku 12 przed rozpoczęciem naszej ery. Data ta zgadza się ściśle z datą urodzenia Chrystusa, obliczoną przez Stenzla. Dalsze badania wykazują, że gwiazda musiała być bardzo widoczna na obszarach Palestyny.

Czy należy się żenić?

Co mówią na ten temat głośne artystki i uczone? Tygodnik francuski „Mariage" publikuje obecnie odpowiedzi szeregu znakomitości na ankietę na powyższy temat.

Słynna uczona **Curie-Składowska** pisze w odpowiedzi: „Odpowiedź na pytanie — czy należy się żenić — nie powinna brzmieć: **tak, lub nie.** Jest to bowiem skomplikowany problem, który każdy musi dla siebie indywidualnie rozwiązać. Rozwiązanie zależy w zupełności od charakteru, temperamentu i stanowiska społecznego każdego człowieka. Ja osobiście znalazłam w małżeństwie swoje szczęście i życzę z całego serca tego samego każdej młodej narzeczonej".

Znana artystka filmowa i śpiewaczka, **Raquel Meller**, wypowiada się również stanowczo za małżeństwem, twierdząc, że nic na świecie, nawet sztuka i sława nie zdoła zastąpić kobiecie szczęścia małżeńskiego.

Zupełnie przeciwnego zdania jest słynna gwiazda Music-hallów paryskich **Mistinguette**, która twierdzi: „tylko głupiec może dziś być zwolennikiem małżeństwa. Ja osobiście nigdy nie chciałam nawet myśleć o wyjściu za mąż. Nie trzeba się żenić, ani wychodzić za mąż — oto klucz do szczęścia".

Na marginesie.

Tym, co odeszli.

Od czasu secesji warszawskiej zauważyć się daje wśród uciekinierów z PPS pewien niesmak oraz przebłyski świadomości — że nie udało się zaszczepić w masy wstrętnego jadu zdrady.

Masy pracujące z pełnem zrozumieniem — aczkolwiek, zdawałoby się, politycznie nieuświadomione — omal instynktem wiedzione, z całem zaufaniem odnoszą się nadal do tej partji, która ofiarą swej krwi i więzieniem dorobek dzisiejszy okupiła.

Z oburzeniem i wstrętem patrzą na zbiegów, mimo, że w pracy i dorobku partji i ich cegiełki tkwią do dziś w fundamencie tego wspólnie zbudowanego gmachu.

Za tymi, którzy czy to dla karjery, czy ze strachu, czy z wiadomych tylko im powodów opuścili swe placówki, ofiarowane im zaszczytnie z rąk robotniczych — nie rozpaczają masy.

Zastanawiają się jednak, czy ci, których ongiś uwielbiali — staną przed nimi. Czy będą mieli na tyle męskiej odwagi, by stanąć wobec tłumu i głosić „nową ewangelję", wskazywać „nowe drogi", potępiając dotychczasowy „kierunek", przez nich samych często wytyczany.

Wiedzą chyba, że przed ich „nową ewangelją" przestrzega masy semafor dotychczasowej czterdziestoletniej, gorącej i ofiarnej pracy PPS.

Pytam więc: Czy sądzicie, że ból tej masy za zawiedzione zaufanie w was pokładane, za wiarę, której sprzeniewierzyliście się, za noszenie was na rękach, za walkę o wasze poselskie i inne stanowiska — przejdzie bez echa?

Nietylko historja socjalizmu będzie wam sędzią. — Ci z za grobu i ci osiwiali, zarówno, jak i ci młodzi, osądzić was muszą i zażądać od was rachunku za ich włożony „kapitał" walki. Żądać będą od was procentów za włożony „kapitał" krwi.

Jak nisko i mętnie wyglądać będzie wasze bankructwo — wobec godności, jakie masy szerokim gestem wam ongiś oddały?

Odeszliście, zabrawszy klasie pracującej część jej dorobku — nie złożywszy rachunku. W konsekwencji wzgardę ponieść musicie.

Władysław Laskowski.

BRONISŁAW SKALAK

Notatki z podróży

Paryż jest duszą Francji. Drogocenny klejnot osadzony na szafirowej wstędze Sekwany lśni urokiem niezrównanego piękna. Z potężnych gmachów okrytych patyną wieków, z wysmukłych kolumn, z wyniosłych świętych i świeckich pomników przemawia dorobek starej, zachodniej kultury.

Przez długie wieki pracowita dłoń architektów, rzeźbiarzy i kamieniarzy, wykuwała w kamieniu czarowny kształt tego miasta. Ramiona Sekwany ujęły miłosnym uściskiem najstarszą jego część, wyspę de la Cité i wyspę św. Ludwika. Tutaj króluje od dziesiątka już prawie wieków niezrównana w piękności i wzniosłości katedra Naszej Pani (de Notre-Dame).

Kamienne Chimery spoglądają z wysokich wież tego kościoła w bezkresną dal spojrzeniem pełnem zrozumienia dla przemijalności wszystkich spraw ziemskich i niespożytej pomimo wszystko energji ludzkiej. I tak jak dzisiaj dochodzi do ich uszu zgiełk kłębiącego się w dole ludzkiego, czteromiljonowego rojowiska — tak kiedyś dolatywał do nich radosny wrzask uroczystych koronacji królów Francji, a potem huk armat wielkiej rewolucji, burzącej granitowe mury średniowiecznej Bastylji. Dzisiaj po Bastylji został tylko obszerny plac z kolumną wolności i ze spiżowym aniołem, wskazującym drogę od wschodnich robotniczych przedmieść Paryża ku zachodowi, ku Łukowi Tryumfalnemu.

Nad wstęgą Sekwany i nad morzem kamiennych gmachów wnosi się przez dłuższą część roku niezrównane w kolorycie niebo. Jest ono przejrzyste i tak lekkie jak nad wielkimi oceanami. Pod tym niebieskim kloszem miasto tętniące pełnią życia przypomina rozkołysany okręt, płynący w przestworzu drgań świetlistych, ku pełni światła. Tak nazwał Paryż największy powieściopisarz francuski Balzac i dodał, że okręt ten płynie pod sterem ducha ludzkiego, i myśli. — A Balzac znał duszę Paryża, jak nikt przed i po nim. Żyje ona jak zaklęta w jego dziełach, dzisiejsze pokolenie Francji jest pokoleniem stworzonych przez niego ludzi.

— — — — — —

Na wyspie św. Ludwika zainteresowanie Polaka wzbudzić musi historyczny Hotel Lambert. W cieniu tego domu żyje zapewne jeszcze wspomnienie emigranta, który miał prawo o sobie powiedzieć, że on i Polska to jedno. Ten emigrant to Adam Mickiewicz. Pomnik tego pielgrzyma stanie już w najbliższej przyszłości przy jednej z większych paryskich ulic, w pobliżu polskiej ambasady.

— — — — — —

Wolność! Równość! Braterstwo! Ten napis widnieje na czole wszystkich gmachów urzędowych, szkół i niektórych kościołów.

Hasło zrodzone w oparach rewolucji, budziło kiedyś paryskie mieszczaństwo i lud przeciwko tyranji i zapalało ogień w żyłach. Ten ogień strawił królestwo Bourbonów, pochłonął przeżytki średniowiecza i przez szereg lat krwawą łuną oświecał całą niemal Europę.

Dzisiaj zebrano skrzętnie relikwie po tych burzliwych czasach i umieszczono w muzeum Carnavalet. Pod jednym stropem znalazły pomieszczenie pamiątki po zgilotynowanym Ludwiku XVIII. i pamiątki po Robespierze, Dantonie, Maracie.

Nie wszystkie jednak dokumenty zmieściły się pod szkłem muzealnych gablotek.

Najwymowniejsze z nich to plac Zgody (de la Concorde), który w czasie rewolucji opływał krwią i legenda napoleońska ze spiżowym Cezarem na wysokiej kolumnie Vendome, ulanej z 1200 armat zdobytych.

— — — — — —

Uczymy się w szkole stanowczo za dużo!

Na łamach prasy niemieckiej toczyła się do niedawna ożywiona dyskusja na temat: „Czy nie uczymy się za dużo w szkole?“ Jak zawsze, tak i w tym wypadku zapatrywania były podzielone. Wszyscy jednak, którzy zabierali głos w tej dyskusji byli zdania, że przeciążenie umysłowe kształcącej się młodzieży doszło do ostatnich granic.

Między innymi zabierał głos prof. dr. Hauff, który mniej więcej tak się wypowiada o szkole dzisiejszej:

Za dużo się uczymy w szkole, a to bez uzasadnionej potrzeby.

Dr. Hauff po uwzględnieniu planów wszelkich kategoryj szkół średnich w Niemczech, których to kategoryj jest aż 50, dochodzi do końcowego wniosku, że 9.400 godzin przeznaczonych na studjum w szkole średniej jest stanowczo za dużo, tę samą wiedzę, którą pragniemy dziatwie przyswoić, w tym czasie, możnaby

po zredukowaniu niepotrzebnego balastu naukowego wszczepić w czasie do połowy zmniejszonym.

Biorąc pod uwagę ogólną sumę godzin tj. 9.400, to z nich przypada, zależnie od typu, mniej więcej 3200—4200 na religię, niemieckie, historję, i geografję, na języki starożytne 2800, a nawet i więcej, taki mniej więcej czas przypada na języki nowożytne, w gimnazjach nowego typu. Na wiadomości ścisłe: matematykę, i wiadomości z przyrody przypada, zależnie od typu szkoły 2600—3120 godz.

Gimnazja klasyczne jednak tracą z każdym dniem coraz bardziej grunt pod nogami — powiada Hauff, bo przed wojną uczęszczało do gimnazjum klasycznego więcej niż połowa kształcącej się młodzieży, dziś zmalała ta liczba do 1/3, a kto wie, czy nie byłoby gorzej, gdyby nie to, że te gimnazja znajdują się przeważnie po małych miastach, gdzie „szerokie koła“ utrzymują, że gimnazjum klasyczne, to jedyne możliwe studjum“. Ta niechęć do języków klasycznych jest zdaniem Hauffa zupełnie uzasadniona.

Matematyka jest bezprzecznie potrzebna i jest rzeczą wielkiej wagi, aby człowiek inteligentny umiał patrzeć, i myśleć matematycznie, ale ten cały balast formułek, który towarzyszy tej nauce jest stanowczo zbyteczny. A te wszystkie zagadnienia matematyczne, które uczeń na średnim stopniu nauki musi rozwiązywać są tego pokroju, że niejeden tajny radca lub ekscellencja, stanąłby wobec nich bezradny, gdyby mu kazano je rozwiązać.

Chciałbym — powiada Hauff — zobaczyć miny tych profesorów wszystkich wszechnic niemieckich, którymby pod najściślejszym dozorem kazano rozwiązać te zagadnienia. Większość z nich otrzymałaby notę dostateczną z powodu nieczytelnego pisma lub niedokładnego wyrażania się. — Teologowie przywołaliby dobre i złe duchy na pomoc, prawnikom, wydawałby się najtrudniejszy proces błahostką wobec tych zadań, a medycy życzyliby sobie pacjentów chorych na dżumę i cholerę niż tej pracy.

Z pewnością każdy przyzna słuszność tym słowom, ale niejeden powie, że ci wszyscy nie byliby zostali profesorami, gdyby nie byli „ostrzyli“ sobie ducha przez matematykę. Ale nie dajmy się bałamucić! Uczniowie szkół realnych mają o 400 godzin więcej godzin matematyki od swoich kolegów gimnazjalnych, ale nikt dotąd nie zauważył, aby realiści byli „bystrzejsi“ od gimnazjastów.

Na językach starożytnych, matematyce i religji możnaby zaoszczędzić połowę godzin a uczniowie zamiast 5—6 godzin, siedzieliby w szkole tylko 2—3 godzin.

Możnaby też zarzucić, że 600 godzin na języki nowożytne to za mało, ale i na to znajdzie się odpowiedź: Dzisiejsza metoda nauczania stoi na takiej wysokości, że i czas wystarczy. Przy nauce języków nowożytnych nie idzie o idealną wymowę, ale o możność poznania obcej kultury a język ma być tylko środkiem do tego.

Na historję wyznaczają 760 godzin — to też za dużo, bo przy tej nauce chodzi o wytyczne, których fachowiec udzieli w krótszym czasie. A jeżeli chodzi o szczegóły przy nauce historji, to kto je pamięta, komu są one potrzebne?

Oszczędność godzin naukowych na różnych przedmiotach naukowych przy tej samej ilości nauczycieli da nam idealną szkołę,

bo po klasach nie będzie więcej uczniów nad 20—30. A uczniowie nieprzemęczeni balastem przedmiotów naukowych i godzin, uczyliby się jakościowo o wiele lepiej.

Społeczeństwo powinnoby w tej sprawie zabrać głos i dopóty nie spocząć, dopóki nie zostanie niepotrzebna nadwyżka godzin szkolnych usunięta raz na zawsze. A jeżeli się to stanie, to wtedy nasza młodzież będzie doprawdy fizycznie i duchowo dobrze rozwinięta. *H. G.*

—:o:—

Niezrównane wrażenie robi Paryż w nocy. Wieczorem na placu Gwiazdy (d'Etoile) z Łuku Tryumfalnego uchwycić można tętno wielkiego miasta i oczarować się na zawsze jego rozmachem i potęgą. Tutaj jest ośrodek tego „najmłodszego“ Paryża z widokiem na tonący w morzu świateł plac Zgody, na ogrody tuileryjskie i Louvre.

Plac Gwiazdy posiada olbrzymie rozmiary. Poprzecinany promieniami szerokich ulic, wiodących we wszystkie strony świata, pławi się podobnie jak plac Zgody w morzu świateł i reflektorów. Podziemne huki kolei elektrycznej, hałas setek mknących we wszystkich kierunkach aut, autobusów, motocyklów i tysięcy ludzi pieszych, składa się na poemat, symfonję wielkiego miasta. Ruch i rozmach, najbardziej wpadająca w oczy cecha życia w Paryżu, uderza tutaj w oczy ze szczególną siłą i wyrazem. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że człowiek, zabłąkany w tym rozpętanym żywiole, oddany zostanie na łup nieposkromionej sile maszyny. A jednak w tym zawiłym maelstromie jest ład i porządek. Czuwa nad nim niepozorny skromny człowiek. Jego to głowa i wyćwiczona wola sprawia, że ruch komunikacyjny odbywa się bez przeszkody, a ludzie przemykają się bezpiecznie pomiędzy warczącemi kołami.

Na spokojnych uliczkach naszych miasteczek wypadki automobilowe są bardzo często. W Paryżu wypadki takie są o wiele rzadsze. A przecie Francja jest drugim w świecie krajem co do ilości posiadanych i wytwarzanych automobilów. Okazuje się, że maszyna w ręku człowieka o starej wypróbowanej kulturze staje się posłusznym niewolnikiem.

— — — — — —

Nad skłębionem wirowiskiem, w ognisku krzyżujących się promieni wznosi się monumentalny Łuk Tryumfalny. Pod łukiem wiecznie płonący Znicz i grób Nieznanego Żołnierza. Nie ma ten żołnierz — może dziecko dalekiej, głuchej wsi francuskiej — pośmiertnego spokoju. Dokoła jego grobowego kamienia huczą spienione fale życia. Grzmią one pogwarem tysiącznych trosk, kłopotów i interesów, wzbierają coraz wyżej, niemal aż pod sklepienie tej napoleońskiej budowli.

Inne narody grzebały swoich „nieznanych“ żołnierzy w miejscach ciszy i spokoju. Francja umieściła tę mogiłę w najgwarniejszym i najruchliwszym ośrodku.

Być może, że była to najwłaściwsza forma hołdu złożona synowi tej ruchliwej, skrzętnej i pracowitej rasy.

—o—

Przedziwna tęsknota.

Czy człowiek bytował już na tym świecie?

Któż z nas nie przeżywał dziwnego uczucia, że kiedyś, kiedyś żył już na tym świecie, że chodził po jakichś wąskich zaułkach, dziś już nigdzie nie widzianych, że patrzył na dziwaczne budowle, których ani w rzeczywistości ani nawet na rycinach niema. Co to znaczy? Czy to sny, marzenia, fantazja, czy też wspomnienie jakiejś rzeczywistości, której w rzeczywistem naszem życiu nie było?

— — — — — — — —

Niedawno odbył się w Londynie kongres spirytystyczny, na którym zjawili się delegowani i przedstawiciele ze wszystkich krajów świata od Chin aż do Australji.

Omawiana tam była m. in. kwestja, czy spirytysta może na podstawie medjalnych wieści z tamtego świata wierzyć w powtórne narodzenie się na ziemi, a więc czy ma wierzyć w wędrówkę duszy z jednego ciała w drugie.

Francuzi, w szczególności paryscy spirytyści, byli mniemania, że powtórne przyjście na świat człowieka jest rzeczą dowiedzioną.

Nawiasowo należy wspomnieć, że Francuz, pułkownik Rochas już przed rokiem robił ciekawe eksperymenty z medjami, które badał w stanie transu, co do poprzednich ich form życia na świecie. Przytem Rochas uzyskał zadziwiające rezultaty. Pewne medjum przypomniało sobie cały szereg poprzednich bytowań na ziemi, z dokładnem podaniem nazwisk, stosunków rodzinnych i miejsc zamieszkania. Te daty sprawdzono i przekonano się, że medjum mówiło prawdę.

Uczeni amerykańscy i angielscy występowali przeciw temu poglądowi, na co Francuzi postawili wniosek, by nad tą kwestją głosować. W głosowaniu uzyskał francuski pogląd olbrzymią większość. Prawie jednogłośnie wypowiedziano pogląd, że spirytysta według dzisiejszego stanu nauki o duchach, popartej eksperymentami, których siłę dowodową stwierdzono — powinien wierzyć w powtórne narodziny po śmierci i wędrówkę dusz.

— — — — — — — —

Oczywiście ani kongres ani spirytyści ani nawet dowodzenia uczonych tej męczącej zagadki nie rozwiążą. Czy byliśmy już kiedyś na tym świecie? Kto wie? Kto wie, czy te „wizje“ przeszłości nie są raczej tęsknotą, pragnieniem dzisiejszego człowieka rozdarcia dawnych zamglonych tajemnic z prawieków? **x.**

Pałac Sportu w Sztokholmie.

Z końcem przyszłego roku Sztokholm uzyska nową ozdobę, mianowicie Pałac Sportu, który będzie jednym z najwspanialszych gmachów tego rodzaju na całym świecie. Roboty przy budowie tego gmachu są już w pełni. Wysokość jego wyniesie 14—15 pięter, hall centralny będzie posiadał największą w świecie pływalnię, oraz 3.500 miejsc dla widzów. Hall ten można będzie zamieniać w arenę bokserską i wówczas pomieści on 3.500 osób. Pływalnia i kąpiele tureckie będą dostępne dla publiczności. Pozatem w gmachu mieścić się będą place do gier, teatr, ogromna restauracja mieszcząca się na terasie, garaże, sklepy itd.

Trzecia konfiskata „Dziennika Ludowego" w ub. tygodniu.

Wczorajszy numer „Dziennika Ludowego" został skonfiskowany za notatkę p. t.: „Bierny opór przeciw biernemu oporowi". Jest to trzecia konfiskata naszego pisma w ubiegłym tygodniu.

—o—

Sytuacja króla Amanullacha poprawia się.

MOSKWA, 23. 12. (Pat). Donoszą z Kabulu, że sytuacja króla Aman Ullacha znacznie się poprawiła. Wojska rządowe zdobyły Bagabali i posuwają się w szybkim marszu w kierunku Kandamaku i Dżalalabali. Matka padyszacha, ciesząca się dużą popularnością wśród szczepów południowych, udała się samolotem do Kandamaku.

WIEDEN, 23. 12. (Pat). Dzienniki donoszą: Rząd afgański zgodził się, aby samoloty angielskie w dniu dzisiejszym przetransportowały kobiety angielskie i inne, skie oraz dzieci, znajdujące się obecnie w budynku poselstwa angielskiego w Kabulu, poza granice Afganistanu.

—o—

Wyrok w procesie wojskowym
o nadużycia w Instytucie Geograficznym.

Toczący się od 3 miesięcy w sądzie wojskowym proces oficerów, oskarżonych o nadużycia w wojskowym Instytucie Geograficznym wczoraj późnym wieczorem dobiegł wreszcie końca.

Sąd wojskowy ogłosił wyrok, mocą którego skazani zostali: major Leonard Omiecki na 4 lata więzienia i wydalenie z wojska, por. rezerwy W. Solecki na 3 lata więzienia i wydalenie z wojska, kapt. St. Tarkowski na półtora roku więzienia i wydalenie z wojska, por. Henryk Gaczyński na 7 dni aresztu, emerytowany ppułk. W. Makowski na półtora roku więzienia, emer. major E. Wyrozumski na 4 tygodnie aresztu, emer. chorąży H. Walicki na 4 miesiące więzienia, emer. ppułk. J. Wintorowski na 3 tyg. więzienia, por. G. Tahn na półtora roku więzienia i wydalenie z wojska, por. W. Gadulski na 7 dni aresztu, ppłk. T. Jaworski na 10 dni aresztu, emer. major K. Wyczałkowski na 3 dni aresztu, por. M. Zgorecki na 7 miesięcy więzienia i wydalenie z wojska, kpt. A. Piotrowski na 2 tyg. więzienia, emer. major Krzyżewicz na 6 tyg. domowego aresztu, emer. pułk. Z. Jaworski na 3 tyg. dom. aresztu i emer. kapt. I. Morawski na 6 tygodni aresztu.

Eksplozja na pokładzie łodzi podwodnej.

NEAPOL, 23. 12. (Pat). Na pokładzie łodzi podwodnej A. I. w czasie ładowania akumulatorów nastąpiła eksplozja. Dwóch oficerów zostało zabitych, jeden ranny.

Krwawa walka wachmistrza policji z synem-bandytą

BERLIN, 23. 12. W mieście Cassel rozegrała się bardzo wstrząsająca tragedja rodzinna. Podczas pościgu policji za bandytami wachmistrz Rau zdołał ująć jednego z nich, który wyrwał mu się z rąk i rzucił się do ucieczki. Za uciekającym oddał wachmistrz kilka strzałów, które powaliły bandytę na ziemię.

Pochyliwszy się nad nim, Rau z przerażeniem dopiero teraz przekonał się, że rannym bandytą jest jego rodzony syn, o którego złem prowadzeniu się nic nie wiedział. W chwili ujęcia go, wachmistrz nie poznał swego syna i strzelał do niego bez pardonu.

Bandyta jest ciężko ranny i walczy ze śmiercią.

Polacy pierwsi kolonizowali Północną Amerykę.

Dwa lata temu polskie tow. tatrzańskie wysłało do Ameryki jako swego delegata p. Stefana Jarosza — celem spopularyzowania wśród tamtejszej polonji projektu utworzenia parku narodowego w Tatrach. — P. Jarosz przysłał w tych dniach list, zawierający ciekawe szczegóły o swej podróży, aż do najdalszych i najzimniejszych krańców Ameryki.

„Wszędzie spotkałem Polaków, nawet wśród eskimosów nad cieśniną Beringa. — Udało mi się tam odkryć ciekawe rzeczy. Mianowicie odnalazłem groby pierwszych pionierów. W niektórych osadach o polskich nazwach stwierdziłem, że pionierami tymi byli Polacy, zesłani na Sybir, którzy tu przywędrowali i osiedli na stałe. Tutejsi geografowie niesłusznie uważają ich za Rosjan"...

Dłoń w dłoń i naprzód!

Dom obok domu,
od mórz zachodnich ku morzom wschodnim,
Od mórz północnych ku południowym.

Człowiek obok człowieka
w ową Noc świętą
śni o wyzwoleniu ludzkości,
o radości jej i szczęściu.

I zda mu się, że marzenia miljonów
Iszczą się teraz na ziemi.

Zapomnij, zapomnij przeszłość...
Dziś nowy już nadszedł czas.
Zapomnij, co było i twórz
Dla szczęścia miljonów,
Dłoń w dłoń i — naprzód!

An.

Nowy parlament rumuński przystępuje do pracy

BUKARESZT, 23. 12. (Pat.). Izba przeprowadziła weryfikację mandatów poselskich. Jutro złożony będzie w parlamencie projekt budżetu. Po dwudniowej przerwie świątecznej parlament prawdopodobnie rozpocznie prace i przystąpi do rozpatrywania budżetu, który, jak przypuszczają, zostanie uchwalony przed 31. grudnia b. r.

Kandydat na wiceministra sprawiedliwości.

WARSZAWA, 23. 12. (tel. wł.). Na stanowisko podsekretarza stanu w ministerstwie sprawiedliwości, opróżnione nominacją min. Cara, wymieniana jest kandydatura dyrektora departamentu ustawodawczego w min. sprawiedliwości p. Sieczkowskiego.

Pół miljona ludzi mrze z głodu
po wojnie domowej w Chinach.

LONDYN, 23. 12. Wskutek wojen domowych oraz złego urodzaju sześciu prowincjom chińskim (Shensi, Shansi, Kwanghi, Huna, Hupeh i Suiyuan) zagraża niebywała klęska głodowa. Środki spożywcze, zebrane przez włościan, zostały zarekwirowane przez wojska walczące, a to co pozostało, zrabowali bandyci.

Obliczają, że około 500.000 ludzi jest skazanych na śmierć głodową w ciągu tej zimy.

USTĄPIENIE PRZEW. SENATU WŁOSKIEGO.

RZYM, 23. 12. (Pat). Titoni ustąpił ze stanowiska przewodniczącego senatu.

Tradycyjny WIECZÓR SYLWESTROWY

odbędzie się w poniedziałek, 31. grudnia 1928, w sali Izby Rękodzielniczej, pl. Strzelecki, (wchód od ul. Kościelnej 8). Początek o godz. 8 wieczorem. Po zaproszenia zgłaszać się należy do Administracji „Dziennika Ludowego".

Podczas zabawy przygrywać będzie orkiestra M. Z. E. --- W programie liczne niespodzianki.

Złośliwy żart kompozytora włoskiego.
Wielka kompromitacja sędziów konkursowych.

W niezwykły sposób zażartował sobie z sądu konkursowego kompozytor szwedzki Kurt Atterberg, który niedawno zdobył pierwszą nagrodę na międzynarodowym konkursie kompozytorskim im. Schuberta, ogłoszonym przez amerykańskie towarzystwo „Columbia". Nagroda wynosiła wysoką sumę 2.000 funtów szterlingów.

Dzieło laureata zostało wykonane w Londynie i przyjęte przez całą krytykę z wielkiemi pochwałami.

Obecnie Atterberg ogłosił list, w którym oświadcza, iż tworząc swą symfonję, wypożyczał różne jej części z utworów innych kompozytorów, a całą swą pracę konkursową wykonał tylko w celach żartu.

Jednolity typ dowodów osobistych.

Ministerstwo spraw wewnętrznych zwróciło się do wszystkich wojewodów z poleceniem powiadomienia podległych urzędów, że zamierza wprowadzić jednolitość dowodów osobistych przez wykonanie druku specjalnemi czcionkami i na specjalnym papierze.

Wojewodowie zwrócili się już do wszystkich urzędów gminnych z poleceniem wstrzymania się od samodzielnego zamawiania druków na dowody osobiste.

—o—

P. T. Abonentów upraszamy o jaknajrychlejsze nadesłanie prenumeraty.

„Umieram z myślą o niej!“

Płocha kobieta powodem rozwodu i samobójstwa inspektora hodowli koni.

Włodzimierz Wnukowski, inspektor hodowli koni w ministerstwie rolnictwa, zam. w Warszawie, przed niedawnym czasem rozszedł się z żoną.

Częstym gościem w pokoiku kawalerskim bywała pewna wysoka, przystojna szatynka, starannie zakrywająca twarz kołnierzem futra, jakby nie chcąc być poznaną.

Wnukowski przedstawiał ją jako swą narzeczoną, z którą miał się ożenić zaraz po uzyskaniu rozwodu z pierwszą żoną.

Tajemnicza ta, nieznana nikomu dama, miała według słów Wnukowskiego mieszkać przy ul. Dzielnej.

Inspektor często bardzo wyjeżdżał na prowincję do majątków, gdzie przeprowadzał kontrolę hodowli koni.

Wczoraj rano wrócił właśnie z objazdu powiatu siedleckiego.

U Wnukowskiego mieszkał chwilowo jego serdeczny znajomy z Poznania 19-letni Edmund Świątek, przybyły na święta do Warszawy.

Wczoraj wieczorem Wnukowski wrócił do mieszkania. Był bardzo zdenerwowany. Przemierzał pokój wielkiemi krokami.

Wreszcie odezwał się do Świątka

— Napij się ze mną wódki. Zaraz przyniosę.

Nie czekając odpowiedzi, zbiegł ze schodów i po chwili wrócił, przynosząc dwie butelki wódki i przekąski.

Świątek wypił tylko trzy kieliszki. Resztę wypił Wnukowski.

Po kolacji Świątek zabrał się do czytania książki. Usiadł tyłem do pokoju.

Nagle rozległ się strzał rewolwerowy. Świątek zerwał się przerażony. Przy komodzie siedział na podłodze Wnukowski. Z rany na skroni płynęła krew, w dłoni trzymał rewolwer.

— Mundek! — zawołał gasnącym głosem — ona nie chciała być moją żoną... Umieram z myślą o niej...

Gdy przybył wezwany lekarz Wnukowski był już nieprzytomny. W parę minut później zmarł.

Znaleziono przy nim karteczkę tej treści:

„Proszę nie winić nikogo — popełniam samobójstwo — Wnukowski“

Nowiny z dnia.

Lwów, dnia 42 grudnia 1928 r.

SZANOWNYM CZYTELNIKOM, Sympatykom i Przyjaciołom „Dziennika Ludowego“ zasyłamy serdeczne życzenia „Wesołych Świąt“.

—o—

NASTĘPNY NUMER „DZIENNIKA LUDOWEGO“ z powodu świąt Bożego Narodzenia ukaże się dopiero w piątek, dnia 28. bm. o zwykłej porze.

W FEJLETONIE BRONISŁAWA SKALAKA p. t. „Notatki z podróży“, zamieszczonym w dzisiejszym numerze, przez przeoczenie opuszczono podtytuł: Miasto jedyne w świecie.

NAGŁY ZGON. Dina Schächter, zam. przy ul. Kazimierzowskiej l. 3, doniosła policji, iż zamieszkały u niej jako sublokator Mendel Ziman zmarł nagle z nieznanego powodu. Przybyły lekarz miejski polecił zwłoki odstawić do Instytutu medycyny sądowej.

SMUTNE ŚWIĘTA „WESOŁYCH“ KOBIET. Ze względów sanitarnych aresztowała policja Natalję Bilacz, Stefanję Bilińską, Julję Romaniuk, Katarzynę Zarską, Ludwikę Skodlarską, Antoninę Dykiel, Katarzynę Kowal, Joannę Jurkiewicz, Annę Nazar i Stanisławę Warga. Pomimo mrozu wałęsały się one po zakazanych ulicach miasta, gdzie je przytrzymano.

WOJOWNICZA NIEWIASTA. Stefanja Muszyńska, posługująca u Uszera Fischera, zam. przy ul. M. Konopnickiej l. 4, skradła rewolwer, aby zapewne stoczyć walną batalję z sąsiadami lub swym „tyranem“. Ukrywającą się Muszyńską odszukała policja i odstawiła do sądu.

POSKROMIENIE NOŻOWCA. W ul. Rejtana, obok hotelu „Berlińskiego“ niejaki Paweł Kazimierz Chowaniec napadł na Fryderyka Pompacha i pchnął go „majchrem“ w łokieć lewej ręki. Powiadomiona o tem policja aresztowała nożowca.

WIZYTY NIEPROSZONYCH GOŚCI. Mina Weiss, zam. przy ul. Zamarstynowskiej l. 18, doniosła policji, że jacyś osobnicy dostali się do jej mieszkania, skąd skradli kilkanaście metrów perkalu, jedwabiu, oraz inne rzeczy, wartości 500 zł.

Jakiś nieproszony „gość“ złożył wizytę w czasie nieobecności Józefa Jabłońskiego, zam. przy ul. Grunwaldzkiej l. 11 a, przyczem zaopatrzył się na koszt gospodarza w futro i zegarek, wyrządzając szkodę 467 zł.

Niewykryci na razie nicponie dostali się do mieszkania Hermana Friedmana przy ul. Kołłątaja l. 6, skąd skradli znaczną ilość gotówki i garderobę nieustalonej na razie wartości. Ci sami osobnicy skradli również na szkodę Geni Rossner garderobę, oraz ubranie na szkodę Józefa Deitla, wartości 160 zł.

W sieni realności przy ul. Mikołaja l. 9, skradziono skrzynię kakao o wadze 50 kg., wartości 350 zł., szkodę Mikołaja Oleckiego.

Z POGOTOWIA RATUNKOWEGO. Józef Schächter, kupiec, wczoraj wieczór w ul. Bema został potrącony przez auto i doznał złamania nogi.

Popołudniu wezwano Pogotowie rat. na Persenkówkę, gdzie jakiś mężczyzna nieznanego nazwiska uległ zaczadzeniu gazem węglowym. W stanie groźnym odwieziono go do szpitala.

Z KRONIKI POLICYJNEJ. Grzegorz Andrijew, jako rodowity Rosjanin z sympatją odnosi się do „monopolki“. Nic więc dziwnego, że uraczył się należycie „mocną z siną“ w szynku przy ulicy Szajnochy. Gdy przyszło do wyrównania cechy okazało się jednak, że miał płótno w kieszeni. Gdy mu poczęto czynić wymówki Andrijew wywołał niebylejaką awanturę. Ostatecznie odstawiono go do aresztu.

Los jego podzielili: pijak nieznanego nazwiska, Bronisław Bury, którego przytrzymano za włóczęgostwo, oraz Jakób Keller, cierpiący na „kleptomanię“.

NIEOSTROŻNOŚĆ POWODEM DWÓCH WYPADKÓW POŻARU. Wczoraj po północy w realności K. Bresslera przy ul. Domsa l. 8 zapaliła się stajnia, wskutek pozostawienia palącej się świecy w nieoszklonej latarni. Zaalarmowana straż pożarna ogień zlokalizowała i ugasiła. Szkoda wyrządzona pożarem wynosi około 2.000 zł.

Ludwika Bernard, zam. przy ul. Sykstuskiej l. 19, wczoraj w południe zapaliła w piecu mieszkania swego służbodawcy M. Klumberga. W czasie jej nieobecności w pokoju wypadły drzwiczki z pieca, następnie zaś od wypadłej głowni zapaliła się stojąca przy piecu kanapa, która spłonęła przed spostrzeżeniem wypadku. Zaalarmowana straż pożarna ogień ugasiła.

—o—

Literatura, nauka i sztuka.

REPERTUAR TEATRU WIELKIEGO:

W PONIEDZIAŁEK Teatr Wielki zamknięty.
Wtorek o 7'30 „Jedna jedyna noc“.
Środa o 3'30 „Betleem Polskie“.
Środa o 7'30 „Klejnoty Madonny“.
Czwartek o 3'30 „Moralność pani Dulskiej“.
Czwartek o 7'30 „Jedna jedyna noc“.

—o—

REPERTUAR TEATRU MAŁEGO

Poniedziałek Teatr zamknięty.
Wtorek o 7'30 „Spirytyści“ — premiera.

UKRAIŃSKI TEATR KOOPERATYWNY

sala Łysenki, ul. Szaszkiewicza 5, dyr. J. Stadnyk.
Wtorek o 7'30 „Oj nie chody Hryciu“.
Środa o 7'30 „Mazepa“.
Bilety wcześnie do nabycia w „Sojuznym Bazarze“ a na 2 godziny przed początkiem przedstawienia przy kasie teatru.

—o—

REPERTUAR TEATRU ŻYDOWSKIEGO:

Poniedziałek: „Bezdomni“.

—o—

ŚWIĄTECZNY REPERTUAR MIEJSK. TEATRU WIELKIEGO przedstawia się nader interesująco. — Pierwszego dnia świąt daje Teatr Miejski najświeższą nowość muzyczną w dziale operetkowym: „Jedną jedyną noc“ R. Stolza, która dzięki doskonałej grze artystów, przepięknym baletem, oraz bogatej wystawie dekoracyjno-kostjumowej stała się „przebojem“ obecnego sezonu operetkowego. — W środę drugiego dnia świąt, popołudniu jako przedstawienie popularne po cenach znacznie zniżonych, daje Teatr Wielki aktualne, świąteczne jasełka Lucjana Rydla, z pełnym nastrojów III-cim aktem, napisanym przez Henryka Zbierzchowskiego. — Wieczorem o godz. 7'30 potężny utwór muzyczny Wolfa-Ferrari'ego „Klejnoty Madonny“.

TRADYCYJNA NOC SYLWESTROWA W TEATRZE WIELKIM. Jak corocznie, tak i w tym roku urządza brać artystyczna w dniu 31-go grudnia br. o godzinie 11-tej (jedenastej) w nocy w Teatrze Wielkim wspaniałe widowisko t. j. rewję aktualną w 14-tu częściach, napisaną specjalnie w tym celu przez znanego literata **W. Raorta**, pod tytułem: „Nóżki na stół...“, w której wykonaniu udział wezmą najwybitniejsze siły artystyczne dramatu, operetki i baletu. Bilety nabywać można już od soboty 22-go grudnia w kasie teatru Wielkiego (wejście od strony kawiarni Teatralnej). — Cały dochód przeznaczony na budowę Domu Aktora Polskiego we Lwowie.

ARTYSTYCZNA REDUTA SYLWESTROWA. Zespół artystów teatru Małego urządza dnia 31-go grudnia br. w dawnej sali Teatru „Nowości“ Wielką Redutę Sylwestrową, poprzedzoną występami znanych artystów wszystkich teatrów lwowskich. Reduta ta, z której dochód przeznaczony jest na budowę Domu Aktora we Lwowie, ściągnie niewątpliwie tłumy publiczności.

Repertuar kin lwowskich.

KOPERNIK: „Kobieta z raju bolszewickiego“.
MARYSIENKA: „Kobieta z raju bolszewickiego“.
LEW: „Prywatne życie pięknej Heleny“.
COLOSSEUM: „ (dawny Teatr Nowości) „Niezwyciężony“.
APOLLO: „Człowiek śmiechu“ Conrad Veidt.
PALACE: „Szecherezada“.
OAZA: „Kobieta i bat“.
CHIMERA: „Łowy na zięcia“.
FATAMORGANA: „Ostatni uśmiech błazna“.
CASINO: „Siła przed prawem“.
PASAŻ: „Postrach Texasu“.
AVENUE: „Rewja nad rewjami“.
GRAŻYNA: „Dziewczęta pod kontrolą“.
PROMIEŃ: „Czerwona tancerka“.

Po urlopie „Hipka-Warjata“

prokurator przeniesiony z Warszawy do Pińska.

W związku z osławionym urlopem Henryka Ryttera noszącego w świecie zbrodni miano „Hipka-Warjata“ podprokurator sądu apelacyjnego Łyński, zastępca prokuratora Rudnickiego, został przeniesiony na stanowisko prezesa sądu okręgowego do Pińska.

Ewangelje słowiańskie z XIV wieku.

Z Rzymu donoszą: Profesor Ferrari z Bolonji odnalazł w bibljotece kościoła św. Dominika w Soriano, w Kalabrji, słowiański tekst z 14-go wieku, zawierający cztery Ewangelje i bardzo interesujące uwagi na marginesach.

Oświadczenie!

W dodatku niedzielnym dziennika „Głos Prawdy“ Nr. 275 z dnia 8. grudnia b. r. okazał się artykuł p. Dra Stanisława Piotrowskiego p. t.: „Zamilowanie Sejmu do austrjackich doktoratów“ to kpiny z nauki. Z powodu niemądrej uchwały sejmowej“.

Artykuł powyższy w treści swej niezgodny z prawdą jest złośliwą napaścią osobistą; — w szczególności przytoczenie w tendencyjnie, formie fragmentów prywatnej rozmowy i omawianie publiczne spraw z życia prywatnego podpisanych ze strony niedawnego kolegi dowodzi małej wartości moralnej p. Dra Piotrowskiego. Wobec tego wstrzymujemy się od polemiki rzeczowej, a na ewentualne dalsze staki w prasie reagować nie będziemy.

Stanisław Olszewski.
Kazimierz Dziurzyński.

Nieprawdopodobne zyski amerykańskich miljonerów.

Amerykanie mogą oczywiście chełpić się dobrobytem, ale jaki udział w tym dobrobycie mają masy robotnicze, o tem świadczy raport departamentu skarbu St. Zjednoczonych, wykazujący, że w kraju tym stale rośnie ilość miljonerów.

Przygniatającą jest poprostu w tym raporcie cyfra bogactw wyprodukowanych przez klasę robotniczą, a skupiających się w rękach szczupłej garści potentatów, podczas gdy ci, co produkują mają zaledwie tyle, aby jako tako żyć i tworzyć nowe bogactwa — nie dla siebie. Sekretarz skarbu w gabinecie prez. Colidgea p. Andrew Mellon, który sam jest multimiljonerem — wykazał w swoim raporcie za rok 1927, że amerykański robotnik utrzymuje na swoich barkach najpotężniejszą na świecie plutokrację.

Zastanowmy się nad tymi cyframi: 284 bogaczy, którzy mają roczny dochód od miljona dolarów wyżej, wykazało w raporcie podatkowym łączny dochód 660,006.135 dol., czyli przeciętnie wypada na każdego po 2,330.000 dolarów. Wynika z tego, że

roczny dochód jednego miljonera równa się rocznemu dochodowi 1.669 robotników fabrycznych, a łączny dochód tych 284 bogaczy równa się rocznemu dochodowi 470.000 robotników fabrycznych!

Do drugiej grupy należą ci, których dochód roczny wynosi od 100.000 dol. wyżej. W r. 1926 miały ich St. Zjednoczone 9.582 a w roku ubiegłym cyfra ta powiększyła się do 11.067, czyli przybyło tej grupie w ciągu jednego roku 1.485 nowych bogaczy. Łączny dochód owych 11.067 osób w roku zeszłym wynosił 2,808,564.767 dol., co w porównaniu z 2.384,090.745 dol. za rok 1926-ty stanowi przyrost dochodów o 424,474.022 dolarów!

Trzecią grupę stanowią tak zw. „ludzie zamożni", posiadający roczny dochód od 10.000 dolarów wyżej. Było takich w roku zeszłym razem 343.856. Łączny ich dochód wynosił 11.666,871.818 czyli blisko 15 proc. łącznego dochodu wszystkich mieszkańców St. Zjednoczonych.

Dochód tych 344.000 ludzi jest wyższy niż wynosi łączny zarobek wszystkich robotników fabrycznych w Ameryce!

Taki jest obraz amerykańskiego bogactwa, którem, jak widzimy, cieszą się tylko jednostki, podczas gdy okradany z owoców swej pracy robotnik nie zdoła w ciągu ciężkich lat znoju zebrać nawet tyle, by mieć zabezpieczony chleb na stare lata!

—o—

Matka.

— Co znaczy śmierć jednostki — rzekł kapitan — jeżeli tylko oddział przyniósł zaszczyt swej chorągwi.

— Co zależy na losie pułku, jeżeli tylko wzięto miasto i wypędzono nieprzyjaciela — powiedział generał.

Patrjota odezwał się:

— Niechbyśmy wymarli wszyscy do ostatniego, jeżeli to tylko ojczyźnie przyniesie pożytek.

Daleko patrzący historyk kultury spojrzał daleko i rzekł:

— Nawet, gdyby kilka państw zginęło — zguba ich nie byłaby daremna, Europa opamiętałaby się i wyszłaby, oczyszczona w krwawej kąpieli, jak nowonarodzona.

Mędrzec pogładził chłodnymi palcami drugą brodę:

— Przypuśćmy, że stara Europa zapadnie się w chaos... jak dobre byłoby to w następstwie dla ziemi! Zniszczenie Europy — dla każdego, kto pojmuje głębsze stosunki przyczynowości, jest to jasne — przyniosłoby naszemu planecie najobfitsze błogosławieństwo. Ofiarowana jako nawóz na roli ludzkości, dopomogłaby Europa tej roli do wydania niesłychanie wspaniałych owoców.

Bóg powiedział:

— Dla mojego systemu słonecznego 27, według arabskiej formuły 12, lit. F. zniknięcie planety ziemi oznaczałoby wielką korzyść. Może byłoby nawet dobrze, gdybym całą grupę systemu słonecznego 27 w interesie wyższej kosmicznej celowości...

— Niech wszystko przepadnie, byleby tylko mój chłopak wrócił z całymi członkami do domu — powiedziała matka, i położyła rozgoryczona dziennik z doniesieniami o zwycięstwach, nie czytając go, obok niewypitej filiżanki kawy.

Z nowych wydawnictw.

Michał Lityński. Z dni grozy i walki o wolność 1914—1915.

(m. h.). Z wielkiem zainteresowaniem czyta się wspomnienia z pierwszych lat wojny światowej, zebrane i podane jasno, stylem pamiętnikarskim, w obszernej, 220-to stronicowej broszurze Michała Lityńskiego.

Autor podmalowuje tło zdarzeń politycznych, dając obraz działających podówczas w b. Galicji stronnictw politycznych a także i historję nastrojów i dążeń wśrod społeczeństwa ruskiego i stosunku różnych jego odłamów do Austrji i Polaków.

Wspomnienia historycznych chwil 1914 r. żyją niechybnie w każdym ze współczesnych, — jednak czas, rzucający na wszystko zwolna cicho ale nieprzerwanie — mgłę niepamięci, zaciera dla oczu potomnych wiele ciekawych, groźnych, czy podniosłych szczegółów, godnych bez kwestji zanotowania i utrwalenia.

Toteż chwalebną rzeczą jest przekazywanie wierne i prawdziwe zdarzeń czy wspomnień osobistych ludzi, patrzących własnemi oczyma na początki wielkiego dzieła Odrodzenia, ku czemu wiódł krwawy trud Legjonów i praca przywódców niepodległościowych w szerokich masach narodu.

P. Lityński z rzadką u nas bezstronnością i spokojem oddaje sprawiedliwość tym ludziom, którzy „tworzyli historję" i kładli istotne podwaliny pod dzieło Niepodległości — wspomina z entuzjazmem nietylko o Wodzu Legjonów i całego ówczesnego obozu wolnościowego i demokratycznego, Józefie Piłsudskim ale i o Ignacym Daszyńskim, o stanowisku polskiej partji socjalistycznej. Nie waha się też ocenić należycie postawy stronnictwa narodowo-demokr. w czasie wojny.

Mnóstwo ciekawych wspomnień z przeżyć uchodźców polskich na obczyźnie, z nastrojów ówczesnego Wiednia, pracy wiedeńskiego Biura prasowego N. K. N., epizodów charakteryzujących te niezapomniane pierwsze lata wojny, znajdujemy w tej książce.

Pisana stylem potoczystym, barwnie i zajmująco, stanowić będzie cenny przyczynek do literatury pamiętnikarskiej tego wielkiego okresu, kiedy w trudzie, bólu i krwi, wykuwała się przyszła wolność odrodzonego państwa polskiego.

Pamiętnik p. M. Lityńskiego doprowadzony jest do r. 1915, do czasu odbicia Lwowa przez Austrjaków i Niemców. Autor opracuje zapewne i wspomnienia z lat następnych.

Z Teatru Wielkiego.

Ubiegły tydzień dał recenzentowi dwa „kawałki" do zreferowania — mam na myśli dwa przedstawienia: *„Złamaną drabinę"*, — komedję spółki francuskiej i *„Betlejem Polskie"*, które ukazało się onegdaj również jako sztuka dwóch autorów, *Lucjana Rydla*, należącego już do przeszłości literackiej i *Henryka Zbierzchowskiego*, będącego obecnie w pełni twórczości.

Miła, bezpretensjonalna komedja francuska podobać się musi wszystkim tym, którzy nie stawiają postulatu, że każda nowa sztuka musi być jakąś rewelacją czy też przeżywaniem intenzywnych dreszczów. Jej pogodny, niebłyskotliwy humor pozwala przepędzić przyjemnie kilka godzin wieczornych, dodać trzeba, że „pater familias" może przyprowadzić do teatru wszystkie swe latorośle bez obawy narażenia na zaczadzenie ich duszyczek — komedja bowiem jest „poprawna" i przyzwoita jak mało która z komedji francuskich. Może ktoś zarzucić, że problem, jaki rozwija, nosi na sobie patynę wszystkich starych, już ojcom naszym znanych prawd; ja jednak uważam, że nigdy za często nie powtarza się szlachetnych myśli i szlachetnych wskazań. A myśl przewodnia sztuki, że jedynie wartościowy jest człowiek, który własną pracą wykuwa sobie życie, zasługuje na to, by ją powtarzać tak starym jak młodym.

Brak żywej akcji starali się ze skutkiem nagrodzić artyści pełną werwy, w czysto komedjowym stylu utrzymywaną grą. Popisywał się jak zwykle wytrawny Dobrzański, znakomicie przyciężki, dobroduszny Guttner, rozbrajająco tetryczny Ratschka. P. Dobrzańska w odpowiedniej roli miljonerki, wdowy po dorobkiewiczu przyczyniła się w znacznej mierze do utrzymania szczerej wesołości na widowni. P. Petrykiewiczówna okazała dużo rutyny scenicznej, u p. Ładosiówny trzeba zawsze pochwalić inteligentne zrozumienie i z artystyczną dyskrecją przeprowadzenie roli.

„Betlejem Polskie", jasełkowe widowisko Rydla, dzisiaj oczywiście w całej swej rozciągłości jest nieaktualne. Akt III., literacko i teatralnie najlepszy z całości, obecnie nie znalazłby oddźwięku — tak jak nie znajdują go nawet „Dziady" czy „Kordjan". Ale od czegoż jest we Lwowie Zbierzchowski? Dyrekcja teatru z pieczołowitością, której tylko przyklasnąć należy, stale dba o to, by scena była przystępna i dla młodzieży. Więc Zbierzchowski, który — jak sam powiada — „skoczył ostatnio silnie w literaturę dla młodych", przekreślił III. akt rydlowskich jasełek i napisał... dramatyczny poemacik z prologiem i epilogiem, stanowiący dla siebie całość, dla uzupełnienia utworu Rydla. Napisał tak jak on to umie: wierszem, płynącym z nieprawdopodobną lekkością, którego wzruszający liryzm nie wyklucza potężnych akcentów (oklaskiwano je najburzliwiej) — i co najważniejsze — napisał z tym młodzieńczym entuzjazmem, który porwać musi młodzież jakiegokolwiek okresu dziejowego. Bo „Betlejem" przeznaczone jest dla młodzieży. Więc autor po wspaniałym prologu, gdzie sybirski wygnaniec, męczennik Polski bojującej, oddaje Ojczyznę pod pieczę Nowonarodzonego, wprowadza na scenę młodzież — skautów polskich i każe im w ślicznych wierszach ślubować wierność ziemi ojczystej. A potem — w drugim obrazie — ukazuje również młodzież, legjonistów w okopach wojennych w noc wigilijną, przy choince płonącej wśród śniegów kresowych rubieży. (Oczywiście sentyment poety musiał dać sobie ujście: gloryfikacja cudownego miasta, Lwowa, znalazła swój najpiękniejszy wyraz). Epilog — kolorystyczny obraz Jezuska z matką w stajence — przemówił również mocno dzięki ślicznej trawestacji kolendy „Bóg się rodzi", gdzie refren każdej zwrotki brzmi: „A polska ciałem się stała i przebywa między nami".

Podnieść należy, że Zbierzchowski w swym obrazku dramatycznym (bo — jak wyżej powiedziałem — stanowi on sam dla siebie odrębną całość) nie usunął się lękliwie od poruszenia kwestji społecznej — podnosi bowiem otwarcie, że głównym zrębem gmachu życia narodowego jest robotnik — i to uświadamia tej najwdzięczniejszej publiczności, jaką jest młodzież. Niechże to ona usłyszy, niech to stanie się świadomością jej życia i wskaźnikiem jej poczynań w przyszłości!

P. Szyndler — w deklamacji prologu, — p. Michnowska, pp. Zabielski, Ratschka i Pobóg (przez kobiety uznany za jednego z najprzystojniejszych młodzieńców) w pierwszym obrazie — zasługują na specjalne wyróżnienie. Wiersz wymaga dużo od artystów, zwykle nie lubiących grać w rolach wierszowanych, w tym wypadku poeta-autor może podziękować wyżej wymienionym artystom za sceniczną reprodukcję swego natchnienia.

„Betlejem Polskie" ze względu na aktualność, którą zdobyło uzupełniającym obrazem Zbierzchowskiego, powinna oglądać w wolnym czasie świątecznym i poświątecznym nasza młodzież. Dyrekcja teatru zrobiła swoje; niechże i publiczność, kochająca teatr, okaże się wierna tradycji tego miasta.

Artur Ćwikowski

—o—

Rozwój działalności Miejskiej Kasy Oszczędności we Lwowie.

Wymowa kilku cyfr.

W rozwoju gospodarstwa naszego miasta coraz poważniejsze miejsce zdobywa sobie w ostatnich latach Miejska Kasa Oszczędności we Lwowie, która

dzięki wielkiej ruchliwości i umiejętnej propagandzie zasady oszczędności w najszerszych warstwach ludności, potrafiła zgromadzić bardzo poważne na nasze stosunki kapitały,

przez co stała się jednem z najżywotniejszych źródeł tak potrzebnego dla naszego rozwoju gospodarczego kredytu.

Onegdaj odbyło się pod przewodnictwem Komisarza Rządu p. o. prezydenta miasta dra Ottona Nadolskiego posiedzenie Wydziału Kasy, na którem Dyrekcja przedłożyła obszerne

sprawozdanie o rozwoju i działalności Kasy

w bieżącym roku.

Ze sprawozdania tego wynika, że wzrost kapitału wkładowego w Kasie przedstawia się następująco:

z końcem 1924 r. wynosiły wkładki na 20037 książeczkach zł. 548.000—

1925 r. wynosiły wkładki na 23950 książeczkach zł. 4,592.000'—.

1926 r. wynosiły wkładki na 29654 książeczkach zł. 10,379.000'—

1927 r. wynosiły wkładki na 38975 książeczkach zł. 21,689.000'—.

obecnie w grudniu 1928 r. wynoszą na 47530 książeczkach

zł. 35.500.000.

w tem szkolne Kasy Oszczędności w 36 szkołach lwowskich zorganizowane, posiadają na 12.509 książeczkach zł. 36.867.

Pragnąc ułatwić składanie oszczędności ludności, mieszkającej na peryferjach miasta, założyła Kasa

Oddział swój przy ul. Gródeckiej l. 60,

który rozwija się bardzo pomyślnie.

Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby w tym kierunku Kasa podjęła *systematyczną akcję przez tworzenie dalszych składnic,* co zresztą w programie przedstawionym Wydziałowi przez Dyrekcję jest uwzględnione.

Ze wzrostem kapitału wkładkowego, pochodzącego przeważnie z drobnych wkładek, wzrasta także

ruch stron w dziale wkładkowym.

Gdy w r. 1924 przypadało przeciętnie 32 stron dziennie, w r. 1925 — 91, w r. 1926 — 159, w r. 1927 dziennie było przeciętnie 300 stron, a w 1928 r. 483 stron. By tak wielki ruch stron opanować trzeba dużej sprawności zwłaszcza wobec dość szczupłego lokalu, jakim Kasa rozporządza.

Logiczną konsekwencją wzrostu kapitału wkładkowego jest także

rozwój działalności kredytowej Kasy.

Portfel wekslowy Kasy wykazuje poważną kwotę zł. 23.337.000.— Z pożyczek wekslowych korzystają niemal wszystkie sfery ludności miasta, a przedewszystkiem drobni przemysłowcy, kupcy i właściciele realności.

W bieżącym roku w poważnej mierze Kasa przyczyniła się

do ożywienia ruchu budowlanego we Lwowie

przez udzielenie szeregu kredytów budowlanych oraz hipotecznych pożyczek długoterminowych, których spłata rozłożona jest na 5, 10, 15. a przy nowych domach we Lwowie na 25 lat.

Dotychczas w ciągu roku udzielono 57 pożyczek budowlanych we Lwowie na kwotę zł. 2,199.500' — oraz 38 pożyczek na realności podmiejskie. zł. 295.500.—, czyli razem 95 pożyczek budowlanych na złotych 2,795.000.—. oraz 101 pożyczek hipotecznych we Lwowie na kwotę zł. 2,366.600. i 57 pożyczek hipot. na realności podmiejskie na kwotę zł. 502.300—, razem 158 pożyczek hipotecznych na łączną kwotę zł. 2,868.900.

Ogółem zatem

na cele rozbudowy miasta i odnowienie starych budynków wydała Kasa w tym roku zł. 5,663.900'—.

Przy pomocy tych kredytów wybudowano *1.189 izb mieszkalnych*, z czego we Lwowie 800, na peryferjach miasta 389. Odnowiono starych domów mieszkalnych we Lwowie 42, na peryferjach miasta 5.

W naszych trudnych warunkach mieszkaniowych te rezultaty, jakie w swej akcji budowlanej Kasa osiągnęła są bardzo poważnym dorobkiem.

Dla uczczenia 10-lecia Niepodległości uchwalił Wydział Kasy na wniosek Dyrekcji przeznaczyć po zł. 10.000 na *budowę Domu Żołnierza* we Lwowie oraz na budowę *Domu Obrońców Lwowa.* — Kredyty te mają być wypłacane po zł. 2000 rocznie, na każdy z tych celów.

Specjalnie jeszcze na wzmiankę zasługuje pomoc kredytowa dla ludności miasta jaką daje

Miejski Zakład Zastawniczy,

będący Oddziałem Kasy, który jest najtańszem i dla wszystkich dostępnem źródłem kredytu lombardowego.

Sprawozdanie Dyrekcji i wnioski przyjęto jednogłośnie, poczem Wydział uchwalił projekt nowego statutu Kasy — dostosowanego do rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z dnia 13 kwietnia 1927 r. — o Komunalnych Kasach Oszczędności.

Z przytoczonych w sprawozdaniu cyfr widać, że Miejska Kasa Oszczędności we Lwowie ściśle przestrzega w swej działalności swego zasadniczego celu i jest żywym ośrodkiem krzewienia idei oszczędności, a w swej działalności kredytowej stara się spełnić te społeczne zadania, dla których spełnienia powołano ją do życia.

Gmina m. Lwowa, która ręczy za wkładki oszczędności, złożone w Miejskiej Kasie Oszczędności we Lwowie może z zadowoleniem prawdziwem patrzeć na rozwój Kasy, jako jednej z tych Instytucji przez Gminę do życia powołanych, które ludności miasta przynoszą poważne, realne korzyści.

Mały felieton

FRANK CRANE.

Śmierć na trzech płaszczyznach.

W Los Angeles zmarł przed niedawnym czasem mistrz światowy w spożywaniu spagetti (makaron włoski).

Ogłosił, że zjada w ciągu roku 1200 funtów spagetti, cztery razy dziennie, czyli całą milę tego specjału na minutę. Dodane do siebie te mile makaronu — chwalił się — uczyniłyby w ciągu roku ośmiokrotny obwód kuli ziemskiej.

Znaleziono go martwym w jego mieszkaniu, otoczonego makaronem.

Lekarze jako powód śmierci podali nagłe osłabienie żołądka.

W wieku lat 33 „zajadł się" na śmierć.

Na jednej z następnych stronic dziennika, donoszącego o tym wypadku, była wiadomość o innym rodzaju śmierci.

Pewien farmer w zachodniem Teksas usłyszał nagle rozpaczliwy głos swojej żony, która zbierała właśnie jaja indycze. — Pobiegł ku niej i ujrzał, że wąż ją ukąsił. Farmer wyssał jad z rany żony i ocalił jej życie. Ale przez rankę w wardze jad przeniknął do jego organizmu, stan jego pogarszał się z minuty na minutę — a następnego dnia zakończył życie.

Była to śmierć na innej płaszczyźnie, — na płaszczyźnie znacznie wyższej.

Pierwsza śmierć była na płaszczyźnie zwierzęcej — druga na płaszczyźnie człowieka heroicznego.

Znowu na innej stronicy dziennika można było dowiedzieć się o następującym wypadku śmierci:

Badacz, który szukał środków, celem zwalczenia pewnej choroby, zmuszony był czynić niebezpieczne próby. Przy tej sposobności nabawił się choroby, skutkiem której poddać się musiał pięćdziesiąt razy operacjom.

Pozostało mu jedno oko, dwa palce u rąk — lecz pomimo tak ciężkiego kalectwa wracał po tych operacjach nieustraszenie do swej niebezpiecznej pracy, idąc ku nieuchronnej prawie śmierci.

Człowiek ten pragnie użyć życiu tych, których nigdy w życiu nie widział. Poświęca się dla sprawy, z której osobiście małą zbierać będzie nagrodę, w przeświadczeniu, że odkryciem swem przysłuży się ludzkości.

Człowiek ten zwolna zbliża się do śmierci na płaszczyźnie najwyższej.

Rozmaitości ze świata.

KURA O CZTERECH NOGACH.

Białogrodzka „Polityka" przyniosła w jednym ze swych ostatnich numerów fotografję kury o czterech nogach, którą w tych dniach kupił na targu sprzedawca gazet Petrowicz z Mladenowic. Petrowicz dopiero po kilku dniach zauważył, że kura ma cztery nogi. „Nadprogramowa" para nóg umieszczona jest w tyle za normalnemi nogami, a ponieważ dodatkowe nogi są krótsze od normalnych i niezupełnie rozwinięte, trudno jest je zauważyć. Pozatem kura ta jest zupełnie normalna. Petrowicz szuka obecnie kupca, który z zamiłowania dla rzeczy niezwykłych zapłaciłby mu za czworonożną kurę odpowiednio wysoką cenę.

—o—

100 PODAŃ NA POSADĘ KATA.

BUDAPESZT. Przed kilku dniami zmarł w Budapeszcie kat Karol Gold. Już po upływie 24 godzin od jego śmierci ministerstwo sprawiedliwości było w posiadaniu 100 podań o przyjęcie na posadę kata. Jak słychać, wśród osób, ubiegających się o tę posadę, jest bardzo wielu bezrobotnych urzędników państwowych i prywatnych. Zdaje się jednak, iż wszystkie te podania zostaną odrzucone, a nowym katem mianowany zostanie jeden z dotychczasowych pomocników Golda.

—o—

USIŁOWANE SAMOBÓJSTWO KOTÓW.

Koty a samobójstwo? Nieprawdopodobne! A jednak jest faktem, że dwa koty uczyniły zamach na swoje życie. Któż zbada głębię kociej duszy? Tak tedy dwa koty zwróciły na siebie niedawno uwagę, na jednej z ulic Wiednia. Przechodnie zauważyli, że z zamkniętego sklepu w jednym z tych domów wydobywał się gaz świetlany. W obawie, że właścicielka tego sklepu uległa nieszczęśliwemu wypadkowi, zatelefonowano po straż pożarną. Po przybyciu straży otwarto drzwi sklepu, w którym była nagromadzona olbrzymia ilość gazu, lecz wewnątrz nie było nikogo. W jednym tylko kącie leżały dwa malutkie koty, oba bez przytomności! Obok kotów, na podłodze leżała połamana kuchenka gazowa. Wkrótce wyjaśniła się tajemnicza historja: Koty igrały z sodą, przyczem zerwały wąż gumowy i przewróciły kuchenkę, która spadła na ziemię. Porwawszy kiepskie ludzkie urządzenie, miały teraz zapoznać się ze zdawiennemi poczynaniami ludzi: przy pomocy tlenu udało się uratować niedoszłych samobójców.

Powiatowa Kasa Chorych w Kałuszu.

L. dz: 3127/28 Kałusz, dnia 18 grudnia 1928 r.

OGŁOSZENIE!

Na podstawie art. 62 ust. z dn. 19. V. 1920 r, (Dz. U. Rz. P. Nr. 44 p. 272) i rozporządzenia Ministra Pracy i Opieki Społecznej z dnia 24. III. 1926 r. (Dz. U. Rz. P. Nr. 44 p. 273), tudzież zgodnie z § 86 i 87 statutu Kasy Chorych rozpisuje się niniejszem i ogłasza:

WYBORY

Delegatów do Rady Powiatowej Kasy Chorych w Kałuszu,

które odbędą się w niedzielę, dnia 10 marca 1929 roku.

Spisy wyborców zostaną wyłożone od dnia 1 stycznia 1929 r. do 10. stycznia 1929 r. od godziny 9-tej rano do godz. 14-tej bez przerwy, w lokalu Powiatowej Kasy Chorych w Kałuszu, ul. Słowackiego.

Wciągu dni 10 od wyłożenia spisów, przysługuje każdemu ubezpieczonemu odnośnie do ubezpieczonych, każdemu zaś pracodawcy odnośnie do pracodawcy prawo reklamacji, co do wpisania lub wykreślenia ze spisu czy to reklamującego, czy to innej osoby.

Rada Kasy składać się będzie z delegatów wybranych na okres trzechletni w myśl § 86 statutu Kasy Chorych w liczbie 45 delegatów i tyluż zastępców z których 30-tu delegatów i tyluż zastępców wybierają ubezpieczeni, zaś 15-tu delegatów i tyluż zastępców pracodawcy.

Czynne prawo wyborcze mają pracodawcy i ubezpieczeni bez różnicy płci o ile ukończyli lat 20 w dniu 18 grudnia 1928 r.

Listy kandydatów winny być doręczone Zarządowi Kasy bezwzględnie do dnia 16 go lutego 1929 r. w godzinach urzędowych.

Każdy wyborca głosuje osobiście po wylegitymowaniu się dowodem, stwierdzającym jego tożsamość.

Głosowanie dla ubezpieczonych oraz pracodawców odbędzie się dnia 10 marca 1929 r. od godz. 8 ej rano do godz. 20 ej wieczorem w biurze Powiatowej Kasy Chorych w Kałuszu.

Bliższe szczegóły zawierają afisze rozlepione w całym okręgu działalności Kasy.

Dyrektor: (-) **Aleksander Janicki.**

Przewodniczący Zarządu: (-) **Andrzej Lewicki.**

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW LAUDA. – Druk. Lud. Spółdz. Tow. Wyd. Lwów, ul. L. Sapiehy 77. – Tel. 496.